

759

N
59

W106

D^{ra} T. TRIPPLIN

PODRÓŻ PRZEZ SAHARĘ

31+28 154_B

UŁOŻONA Z OPOWIADAŃ

Jakóba Arago

I OBIĄSNIONA PRZYPISAMI I UWAGAMI.

TOM I.

WARSZAWA,

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa,
przy ulicy Miodowej Nr. 496.

1854.

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773

<http://rcin.org.pl>



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby eg-
zemplarzy.

w Warszawie dnia 1/16 Grudnia 1853 r.

Cenzor **F. Sobieszczański.**



759

<http://rcin.org.pl>

NH-42568 (E.2) TW

NH-42568 (L.1) TW

I.

Sahara w ogólności.

Saharo! straszliwa puszczo, przedmiocie ciekawości tylu wieków, grobie tylu ludzi, którzy dla dogodzenia jej poświęcili życie, już usługami świata peżytecznymi wsławione, uzacnione! Saharo! ty i mojej ciekawości celem jesteś od dawna; ale nie było mi dotąd danem stąpać po twoich gorejących piaskach; powietrze tylko niemi rozognione, owiewało skronie moje, i rozpałało wyobraźnię, podnieconą obrazami przyrody

Afrykańskiej, gdym błakał się po stepach bliskiego Atlasu.

Saharo, odwieczny sfinksie! ani twe piekielne żary, ani chłoneące odmęty piasku, ani czaszki ludzkie po twoim przestworze gęsto rozsiane, ani głody i pragnienia nie odstraszyły cierpliwości chciwych zysku, wrażeń i wiedzy śmiertelnych; co dzień przyciągasz bazyliżkowym wzrokiem twoim umysły uczonych podróżników, pragnących zapisać imię swoje w księgę zawsze ludzającej, a częstokroć zwodniczej sławy. Im częściej jesteś grobem szlachetnych poszukiwań, tem częściej stajesz się kolebką nowych, jeszcze szlachetniejszych.

Saharo! owe białe, spiekle szkielety, które twoje uragany co chwila odkopują, w proch zamieniają lub w otchłani pogrążają; owe białe straszne szkielety, w których niegdyś przebywało czucie, ruch i myśl nawet, a myśl szlachetna tak często, dowodem są najświetniejszym cierpliwości, wiel-

kości przyrody ludzkiej. Naprzód, zawsze naprzód dąży wiecznie myśl ludzka, ta, którą Bóg sam dla poprowadzenia wido-ków swoich, wszczepił w krew wybranych; naprzód ona dąży zawsze, pomimo niebez-pieczeństw, boleści i śmierci, i malej czę-stokroć wiary w uznanie z strony waszej; wstrzymać jej nie zdołają od czujności, działań i poświęceń namowy tych, co tyl-ko w używaniu cel i szczęście życia upa-trują. Litujcie się nad temi, którzy pomimo przeczucia niewdzięczności ludzkiej, dla dobra ludzi mozolą się i cierpią, ale ich przebóg! nie gańcie, nie obmawiajcie, że was z miłej limfy wystraszaają, że wam do nerwów docierają, bo im winniście, żebyście najgrubszą przywykli byli roślinkować materiją, im zaprawdę jeszcze zawdzię-czacie te uroki życia, które kosztujecie w rozmowie z mniej materyjalnemi bli-źniemi; tak, te uroki, których z nazwiska może nawet nie znacie, a one są jednak

okrasą waszego umysłowo biernego, bezowocnego żywota.

Ale tu o Saharze mowa, a nie o istotach, pomiędzy którymi Eden wydalby się Sahara.

Sahara, (dajemy tu wiadomości z najnowszych, a mało jeszcze znanych czerpane źródeł) po arabsku, *Es-Sahra*, pustynia, — *Bahar-Bila-Ma*, morze bez wody, rozległą jest okolicą Afryki środkowej, wielką jak trzecia część całej Europy, zajmującą całe terytorjum, położone między Oceanem Atlantyckim na zachód, Egiptem i Nubiją na wschód, państwem Barbaresków na północ, Senegambiją i Nigrycyją na południe; rozciąga się od wschodu na zachód na 5,000 werszt przynajmniej, a na 2,000 werszt od północy na południe; w niektórych miejscach na 1,500 tylko, w innych znowu na 2,500; a ze wszystkiem zajmuje przeszło milion werszt kwadratowych przestrzeni, pomiędzy 15 a 30 stopniem

szerokości północnej. Z najświeższych badań, powziętych o tej rozległej przestrzeni ziemi, wykazuje się jak najjaśniej, że nie tworzy w zupełności pustyni piaszczystej, jak wprzódy mniemano, i jak można wnioskować z kart jeograficznych, dotychczas upowszechnionych; lecz składa się z równin piaszczystych, przerzniętych grzbietami skał, nie wysoko bardzo wyniesionemi, pagórkami i ziemiami urodzajnymi. Prąd wiatrów peryjodycznie wiejących, unosi piaski z wschodu na zachód, — z wschodnich okolic puszczy ustępują piaski, pozostaje na nich pokład kamienia wapiennego, z którego kopaniem lub wierceniem nadzwyczaj łatwo wydobyć najwyborniejszą wodę. Już tej łatwości ani śladu w częściach średnich; w zachodniej okolicy zaś rozkiełznane wiatry bezprzestannie prawie zarywają głębie, wznoszą tumany drobnego a gęstego piasku, pagórki, wały i góry piaszczyste piętrzą się i w oka mgnieniu znikają; nie

ma tam źródeł w tych skwarnych, zgubnych krainach, a w wielkiej głębokości wykopane studnie, wydają tylko wodę brudną i słoną.

Ale i téj krainy głodu i śmierci Bóg nie opuścił zupełnie, i nie chciał jój pozostawić bez swéj opieki.

W niektórych okolicach téj smutnej puszczycy, wykwitają z pośród ziemi, piasków i śmierci, zielone, wałem kamiennym od uraganu osłonięte oazy. Według najnowszych spostrzeżeń, wynaleziono ich i oznaczono na obszar milion werstowy czterdzieści trzy, z których tylko dwadzieścia jeden przez ludzi zamieszkałych. Są to małe wysepki na ogromnym oceanie, na którym ani parą, ani żaglem, ani wiosłami nigdy człowiek pływać nie będzie, na którym i aeronauta, żeby i najlepszym unoszony gazem, wytrwać nie zdoła nigdy, z przyczyny sprężystości wysokiego ciepła.

Prawie wszystkie zamieszkałe oazy położone są w stronie wschodniej i średniej Sahary. Oazy zachodnie są po największej części bagnistemi ziemiami, obfitującemi tylko w zgniłą wodę i w rośliny nie wydające owoców.

Z którejkolwiek wstępujesz strony do Sahary, wchodzić w nią musisz z góry na dół, by dość do jej obszernego jądra. Dzienną porą dokuczy ci mocny skwar ciepła, nocną zaś marzniesz prawie! Pobyt w puszczy najokropniejszym przejmuję postrachem, zwłaszcza gdy niestały uragan lub peryjodyczny *simuhn* mordercze swe skrzydła roztoczy; wówczas biada wam ludzie! biada ci karawano całkowita! będziecie pochłonięni przez stumanione piaski lub też zaduszeni przez skwary. Innym powodem męczarni dla podróżnika są owe ułudy, *serab* zwane przez Arabów, a przez Francuzów *mirage*. Widzisz przed sobą w piekielnym skwarze, gdy ci przysechł

język do podniebienia, i gdy się palą piaski pod stopami twemi, widzisz jeziora, rzeki i ogrody kwieciste, a wszystko pierzcha gdy się do niego zbliżasz, a nic nie istnieje wcale, tylko w ułudzie twego spragnionego oka. Bóg wie, jakie okolice, o tysiąc mil stąd leżące, powietrze rozgrzane odbija tu jak w zwierciadle: może to twoich rodzinnych zagród obraży; żegnaj się z niemi, zapewne nigdy do nich nie wrócisz.

Rzadko tu deszczu doznasz dobrodziejstwa, a w stronie zachodniej nigdy, bo tu wroga twego, słońca, spadają promienie jak ogniste miecze, i w samym zarodzie każdą rozszarpują chmurkę. A cichość nieznośniejsza niż wszystkie ryki rozhukanych oceanów, panuje tu prawie ciągle w tej straszliwej puszczy, i chyba ją przerwą wycia zajadłych do wściekłości hyjen.

Pomimo niebezpieczeństw Sahary, morze piaszczyste regularnie jest przebiegane we wszystkich kierunkach przez kupieckie

karawany, dostarczające nam, tu do naszego kraju wielu artykułów, o których może nam się ani śni, że z tak wielkim znojem i wazeniem życia są sprowadzane, na przykład: piasek złoty malarski, koszenilla karminowa, kość słoniowa, i różne lekarstwa, zwłaszcza gummy.

Trzy są główne kierunki dróg przebieganych przez karawany:

1. Jedne wychodzą z Maroko, z Tunis i z Tripolis, udają się pięcioma głównymi traktami do Tombaktu. Podróże te są najdłuższe i najcięższe, a dla rzadkości wody i oazów, dla głębokości piasków najniebezpieczniejsze. Karawany potrzebują najmniej trzech, częstokroć pięciu i sześciu miesięcy na dojście do celu. W tym ostatnim razie, pozostają i dni dwadzieścia w niektórych oazach, dla przeczekania uraganów, i dla wymiany towarów z innymi, skąd inąd i gdzie indziej dążącymi karawanami.

2. Inne karawany obierają za cel podróży jezioro *Tsad* i krainy Sudanu, graniczące z niem od wschodu i od zachodu.

3. Jeszcze inny trakt główny ciągnie się ku Sudanowi w stronę Dirfuru i Egiptu. I wzdłuż północnego brzegu Sahary, postępują karawany z Egiptu do Fezanu, Tripolis i t. d.

Ruchomość piasku, dochodzącego na różnych miejscach do stóp pięćdziesięciu, nie pozwala na umieszczenie znaków mogących służyć za drogowskazy; wszelki ślad żeby najgłębszy, zawianym jest w oka mgnieniu; tam, gdzie dziś są doły na kilkanaście sążni głębokie, wyglądające jak łoża wyschłych jezior, tam jutro być może potężna góra, lub też stromy na sto stóp parzykch wał piasku, wstrzymany dęciem wiatru w pionowem wzniesieniu; a gdy wiatr ustanie na jedną tylko chwilę, wówczas wał się rozsypuje w oka mgnieniu,

i pogrąża w swych piaszczystych falach karawanę o pół mili drogi ciągnącą.

Gwiazdy są w tych samotnych przestworach, tak jak na morzu, jedynymi drogowskazami dla podróżnika. Nigdy karawany nie postępują w linii prostej, lecz ciągną od oazy do oazy, w nadziei że tam znajdą wodę i cokolwiek liścia zeschniętego dla wielbłądów. Podróżni zaopatrują się wprawdzie w wodę i wiozą ją z sobą w szczelnie zamkniętych blaszanych lub skórzanych naczyniach; lecz często się zdarza, że jedne pękają i że z drugich ciecze wysychają pod skwarliwym żarem Simuhna, nawet ze źródła wysychają, lub przywalone piaskami nie ciekną; wówczas położenie karawan staje się okropnym, całkiem ginie w męczarniach pragnienia. A prócz dzikich zwierząt, czyhających na pożarcie podróżnika, dybią na niego bandy rabusiów koczujących, uważających puszcę za swą

własność i obdzierających wszystkie karawany, które im się nie opłaciły.

Nie wiele można powiedzieć o ziemiopłodach Sahary. Nieco ostu, mimozy, manny, dzikiego tymianku, kilku umbelliferów i trufle, oto prawie wszystko, co się znajduje w okolicach mniej jałowych; oazy jednakże bujniejszą cieszą się roślinnością; pyszna na nich wzrasta pszenica, dojrzewają tu wszystkie owoce południa, zwłaszcza *banany, pataty i daktyle*. Sama puszca wydaje niezmierną ilość rodzimej soli, która jest przedmiotem handlu z Sudanem, gdzie jej brak zupełny. Lew, pantera, dzik, hyjena, szakale i małpa wałęsają się ciągle około brzegów Sahary; lecz bardzo rzadko w jej się zapuszczają głębie; inaczej z strusiem i antylopą; ujrzysz je wszędzie skaczące, unoszące się hyżo na skwarnym gruncie; ptaki napotkasz tylko w pobliżności oazów, podróżnik puszczy wita je zatem z takim uniesieniem, z ja-

kiem je wita żeglarz, gdy długo nie widział ziemi.

Dwie rasy ludzkie zamieszkują te dziwnie okropne okolice: *Maurowie* i *Berberzy*. Pierwsi dzierżą część zachodnią puszczy, i mniej więcej czysto swój typ pierwotny arabski zachowali; częścią jednakże spokrewnili się z Berberami, a nawet murzynami i odrębne przybrali obyczaje i narowy. Dziela się na liczne pokolenia, z których każde stoi pod rozkazami dowódcy, rozporządzającego władzą bardzo ograniczoną. Pomiedzy pokoleniami zamieszkującymi strefy nadsenegalskie, najliczniejszymi są *Trarzasy* i *Braknasy*. Koczujące prowadzą życie, trudnią się czasem kupiectwem, ale najczęściej i najchętniej rozbojem. Każda karawana przeciągająca przez terytoryjum jakiego pokolenia, zmuszona jest okupić sobie jej protekcją; inaczej zostanie niezawodnie zrabowana. Owi fana-

tyczni zwolennicy islanizmu srodze się obchodzą z europejczykami, gdy w ich ręce wpadną. Prawie zupełnie nadzy, żyją pod namiotami i znoszą głód i pragnienie z zadziwiającą wytrwałością; mleko, jagły i daktyle są ich pożywieniem, nadzwyczaj rzadko jedzą mięso; niektóre pokolenia nie znają innego pożywienia jak mleko wielbłądzie; a jednak ludzie ci później dochodzą starości i żadnym nie podlegają chorobom. Artykułami handlu dostarczanymi przez nich Sudanowi, są: sól znaleziona w puszczy, pióra strusie i czarni niewolnicy, upolowani w Nigrycyi nad brzegami południowej części Sahary. Najmniej europejczykom znana ta część puszczy. Maurowie strzegą pilnie tajemnicy, ale z wszystkiego znanego już wnosić można, że w tej części nie brak na pysznych rozległych oazach.

Berberowie rozpadają się także na dwie główne gałęzie: na *Tuarików* i na *Tibosów*. Tuarikowie zamieszkują północ puszczy,

graniczącą z Algierją i państwem Tripolitańskiem.

Są to ludzie mocnej budowy ciała i bardzo wojowniczego usposobienia; niektórzy tak bieli, jak mieszkańcy brzegów północnych Afryki; inni znów prawie czarni, ale z murzynami zupełnie nie spokrewnieni. Dziwny mają zwyczaj zasłaniać sobie twarz rodzajem fartucha, spadającego od oczu na niższą część oblicza i na usta. Włócznia z długim ostrzem i krótki miecz są ich jedyną ale straszliwą bronią; koni nie używają, lecz owych szybkich Dromaderów puszczy, zwanych méhari, o których mowa była w naszym opisie Afryki. Na nich puszczają się hordami całemi do Sudanu, i tam łapią i zabierają niewolnika. Prawie jeszcze wszyscy bałwochwalstwu są oddani, niektórzy wyznają Mahometa. Tuarykowie zamieszkują krainy leżące na trakcie z Fezanu do Kaszenach i do jeziora *Tsad*.

Część puszczy Libijskiej, jest obecnie własnością baszy egipskiego. Z téj krainy aż do terytoryjum Tripolitańskiego i aż do samego morza, ciągnie się odnoga puszczy Libijskiej, długa, ale w niektórych miejscach ledwo na ośm mil szeroka; to puszcza zwana *Barka*. Nie ma na tym gruncie ani śladu drzewa, ani wody, tylko pozostały zwaliska miast i grodów, i świadczą, że ta dzika kraina musiała być kiedyś pokryta pyszną roślinnością, nim ją żywioł zniszczenia, piasek zasypał.

Głównemi *oazami* puszczy na południe położonemi są:

Oasis Siu-ah (pod 29 szer. półn. a 24 stopniem dług. wschod.) o 40 mil jeograficznych od morza, a o 12 dni drogi od Kairu. Całkiem jest otoczona wałem wapiennym na 4 do 500 stóp wysokim, długości ma 6 mil, a szerokości pięć. Dwadzieścia źródeł słodkich i tyleż słonych skrapia ten ogród, wykwitający z pośrodku piekielnych

zarów puszczy. Najbujniejsza roślinność całą zdobi oazę; łąki, pola, ogrody i gaje pełne drzew palmowych czarują oko znękanego podróżnika; ale woda tej krainy szkodliwą jest dromaderowi. Mieszkańców jest tyle na tej oazie, że utrzymać mogą pod bronią wojska regularnego do czterech tysięcy, Berberskiej są rasy i uznają zwierzchnictwo baszy egipskiego, a handel prowadzą bardzo żywy z karawanami. Dziś jeszcze kwitnie miast kilka wałami otoczonych i doskonale obronnych na tej cudnej oazie, w pobliżu zaś samej stolicy *Siu-ah*, jeszcze sterczą sędziwe ruiny świątyni Jowisza Ammona, którą Aleksander Wielki niegdyś zwiedził. Innych miast jeszcze szczątki, nawet okazałe katakumby w skale wykute pozostały temu miejscu, jako szacowne zabytki starożytności.

Na zachód miasta *Siu-ah*, leży żyzna dolina *Sziat-ah*, której wapienne skały, ręką

samej natury wyrabane zostały w kształcie piramid.

Nie wszystkich możemy dać opis oazów dotychczas znanych. Obręb tego pisma nie dozwala na to, więcéj ich niestety! zostało pochłoniętych pod piaskiem, jak poznanych i dobrze opisanych przez podróżników uczonych. O jednej wszakże największej wspomnieć musimy.

Najobszerniejszą z wszystkich oazów (*uah* po arabsku *wyspa*), jest ta, którą w jeografii pospolicie znamy pod nazwiskiem królestwa *Darfur* (*Szaleyk Darfur*, państwo bronione skałami), a która leży pomiędzy 12^0 i 16^0 szerokości jeograficznej, a pomiędzy 23^0 i 26^0 długości jeograficznej paryzkiej. Kraina ta żadnych nie posiada rzek, odwilżają ją jeziora i strumienie, powiększej części w lecie wysychające. Pierwotnemi mieszkańcami byli murzyni, ale dziś podbici, za panów uznac muszą Berbera. Wszystkich jest przeszło

200,000 uznających własnego samowładnego sultana, wyznających Mahometa i prowadzących po największej części handel z Sudanem i z Egiptem. Kość słoniowa, guma, piasek złoty, pióra strusie i niewolnicy są przedmiotem tego handlu. Stolica tego interesującego, przez W. G. Browna na końcu przeszłego stulecia, a przez Cienkowskiego lat temu kilka zwiedzanego kraju, nazywa się *Kobbē*; odłącza go od Egiptu puszcza *Bahiuda*.

Garamowie i Getulowie (których niezawodnie potomkami są dzisiejsi Kabajlowie, w niczem się nie różniący od swych przodków obyczajami), pierwotnymi byli mieszkańcami tych krain, bitniemi już za czasów Dydony księżniczki Tyru, założycielki Kartaginy (860 lat przed Chrystusem). Wiemy, że Jugurtha zwyciężony schronił się do Gerulów, że z nich zrobił doskonałych żołnierzy, zacięcie z Rzymianami walczyć umiejących.

Dziś, dzięki pracom, podróżom i poświęceniu podróżników tak uczonych jak W. G. Browne, Syon, Oudney, Denham, Clapper-ton Laing, Callie, Shaw, Becker, i w najnowszych czasach nasz Cienkowski, generał Daumas, pułkownik Carette, Pelissier, Urquart, Arago, tajemnice strasznej Sahary odsłaniać się zaczynają; dziś z prawdziwą przyjemnością czytać możemy to, co nam nieszczęsny, ociemniały podróżnik Jakób Arago o nich opowiedział, co spisałem za świeżej pamięci, według jego opowiadań, i co nigdy jeszcze drukiem w tak szczegółowy sposób ogłoszonym nie było. Własnymi przypiskami uzupełniłem opowiadanie Jakóba Arago; przyłożą się one znacznie do ocenienia zajmującej treści nieznanym nam a tak oświecających podróży, mogących służyć za uzupełnienie tego, cośmy gdzieindziej (w tomie VIII naszych Wspomnień) o Afryce z własnych spostrzeżeń opowiedzieli. Podróż przygodowa, ze zwrotami

pełnemi uczuć i sądu zarazem, najlepsze dać nam jest w stanie wyobrażenie o przyrodzie obszarów dotychczas mało znanych; o kraju, który niezawodnie jest łożyskiem morza jakiegoś, wypartego lub wyschłego przez jedną z ogromnych rewolucyj globu naszego, a dziś do wysokiego stopnia przyciąga ciekawość wszystkich ludzi chciwych wiedzy, i pragnących nadziei i pomieszczenia dla przyszłych pokoleń rodu ludzkiego.

II.

Zachodni brzeg Afryki.— Kajkae.

Z pomocą przyjaznego wiatru, który się pieścił, że tak powiem, z żaglami naszego okrętu, śmiało przepływaliśmy zamierzone dwanaście węzłów; i ponieważ prąd popychał nas ciągle na otwarte morze, mógł więc kapitan bez niebezpieczeństwa potrącenia, kazać zbliżyć się ku brzegowi i rozpatrywać jego dziwaczne zarysy z uwagą, która pozwalała nam domyślać się, że ma względem tego lądu zamiary na przyszłość.

Ciekawych bo to widok przedstawia zachodni brzeg Afryki od Przylądka Dobrej Nadziei, aż do Przylądka Białego; lecz niebezpiecznie przyglądać mu się zbliska, gdyż kamienny pokład polipów i koralów idący równoległe z brzegiem lądu, był niejednokrotnie przyczyną rozbicia.

Kilka łodzi murzyńskich, kierowanych z zadziwiającą zręcznością, krążyły od czasu do czasu w okół naszej korwety;—handel zamienny, któryśmy z niemi prowadzili, był dosyć uczciwy; lecz każdej nocy zmuszeni byliśmy przedsiębrać środki ostrożności i nie potrafię wyrazić, ile nas mordowała ta ciągła baczność, przeciwko której rozgniewani majtkowie miotali najenergiczniejsze przekleństwa.

Lecz przed nami morze zmienia nagle barwę, fale coraz większe, wynoszą na powierzchnię morszczyzny, wyrwane z samego dna wodnej przepaści, i jak gdyby przepowiednię czegoś nam grożącego; wydano

rozkaz zwinąć żagle i skierować korwetę pod wiatr.

Kapitan zbliżywszy się do mnie i ściskając mą rękę wskazał w dali, na horyzoncie, białawą plamkę; wówczas przysły mi na myśl dawne wspomnienia i odszedłem z modlitwą w sercu za tych, których pochłonęło to morze.

Jesteśmy w pobliżności wysp Azorskich (1), tych złowrogich świadków tylu rozpaczy, tylu konań, tylu bluźnierstw. Przepły-

(1) Azory czyli sokole wyspy. Grupa wysep należących do Portugalii w oceanie Atlantyckim pomiędzy Afryką i Ameryką położona. Na przestrzeni pięćdziesięciu dwóch mil kwadratowych, żyje tutaj przeszło 250,000 mieszkańców pochodzenia portugalskiego i rządzących się prawami tego kraju. Osobne wyspy nazywają się: San Miguel, z 85,000 mieszkańców; Terceira, 40,000 mieszkańców. Wyspa ta była podczas uzurpacyi Don Miguela siedliskiem rządu Donny Maryi da Gloria (1827—1833). Pico z 25,000 mieszkańcami, Fayal z 24,000, Santa Maria 5,000, San Jorge 120,000, Gracioso 7,500

wajmy co prędzej mimo chłodnego grobu Meduzy! Płynmy ciągle... Morze się pieni, fale coraz szybciej ścigają jedna drugą... i wprawne oko strażnika stojącego na przodzie okrętu pogląda w dal, wyszukując punktu gdzie nas czeka zbawienie i odpoczynek. Nareszcie daje się słyszeć głos: ziemia! ziemia!

I oto już wszyscy ją widzimy... Jest to białawe, nieregularnych zarysów wzniesienie

Flores 13,000, Loroo 800. Grunt jest wulkaniczny i górzysty, dobrze odwilżany i nadzwyczaj żyzny. Najwyższą górą jest Pik na wyspie Pico, dochodzi do wysokości ośmiu tysięcy stóp paryzkich. Klimat jest łagodny, nadzwyczaj zdrowy. Ziemiopłodami najgłówniej szemi wino, zboża i owoce południowe; mieszkańcy oddają się także hodowaniu bydła, rybolóstwu, przemysłowi i handlowi. Zbývá jednakże Azorom na dobrej, wygodnej przystani. Humboldt utrzymuje że Azory powstały z podmorskich, wulkanicznych wybuchów, i to mniemanie dziś jest ogólnie przyjętem. Portugalczycy odkryli wyspy Azorskie w roku 1446.

nad powierzchnią oceanu, rzekłbyś obszerny dziewiczy grobowiec. Za nami horyzont groźny, zorany meteorami zmieniającemi barwę stosownie do warstwy powietrza, którą przelatują. A i korweta nie tak już skora płynie ostrożnie, ponieważ wie że pod tą zwodniczą powierzchnią ukrywają się kamienne pokłady koralów, nielitościwie rozdzierające boki statkom, które nieostrożnie na nie się natkną. Tymczasem każdy na swoje miejsce: zarzucajcie kotwicę. Lina się rozkręca, żelazny ząb kotwicy wyszukuje na dnie morskiem przedmiotu za który mógłby się ucześcić i oto piękna Natejda (tak się zwał nasz statek) zadrżała i stanęła nareszcie nieruchoma o pół mili od brzegu.

Przeznaczeniem jej było osłaniać pawilonem swoim i piersiami, z których się jeżyły działa francuzkie, kolonije w Senegalu (2)

(1) Senegal i Senegambija. Senegal jest jedną z największych rzek Afryki i tworzy się z dwóch

i statki kupieckie, przywożące tam w zamian za wosk, słoniową kość i piasek złoty, kosztowne materyje, gorące napoje i—rozwiązłość.

źródłanych strumieni: Basinga, którego źródło leży w pobliżności rzeki zwanej Rio Grande, i Kokoro którego źródło leży pod 12 stopniem północnej szerokości i 12 stopniem wschodniej długości, w północnym podnóżu pasma gór Kongo. Niedaleko od punktu w którym się obie rzeki zlewają, pyszne się tworzą wodospady, ale pod niemi Senegal przybiera postać pięknej, łagodnie płynącej pośród płaszczyn rzeki. W pewnym oddaleniu od morza znów się rozdważy, a przy samem ujściu do morza łączy się i strumieniem na milę szerokim wpada w Ocean. Splawnym jest Senegal aż do wodospadów dla statków noszących 60 tonn ciężaru.—Senegambiją czyli zachodnią Nigrycyją nazywa się kraj wybrzeżny zachodniej Afryki, który się rozciąga od przylądka Mirik aż do przylądka Verga, na długość 150 mil jeogr. Wnętrze tego kraju, przebieganego przez Senegal, Gambiją i Rio Grande; tworzy spadek zachodni i północny gór Kongo, i jeszcze po części nie jest

Co do mnie, i ja takó¿ chciwie wpatrywałem się w stronę lądu, aby ile możności poznać ogólny wyraz tej ziemi niewdzię-

znanem. — Arabowie już zwiedzali Senegambiją w średnich wiekach; wyższą też Senegambiją, tworzącą wstęp do Sahary i rozciągającą się na 150 mil na wschód i na zachód, wyższą mówię Senegambiją zaludniają Maurowie, i żywy prowadzą handel gumą z anglikami, posiadającymi monopol handlu Gambii i jedyne faktoryje przy jej ujściu. — Średnia Senegambija zaludniona jest murzynami dzielącemi się na plemiona, z których Felatakowie, czarni jak kruki, Dzialofowie i Madingowie są Mahometanami. — Kształt rządu jest różny: tu despotyczny, tu monarchiczny, tu republikański; zatrudniają się uprawą roli, handlem i przemysłem nawet. Klimat jest gorący i bardzo niezdrowy w błotnistych okolicach, ziemia prawie wszędzie płaska nadzwyczaj żyzna. Dolna Senegambija bardzo mało jest znana, ma mieć od 18 000 mil kwadratowych do 30,000 obszaru. — Francuzi posiadają w Senegambii wyspę St. Louis przy ujściu Senegalu i małą wysepkę Goree z kilką faktoryjami. Portugalczycy dzierżą

cznej i spalonej, do której przybywa jednak tylu ludzi szukając bogactw, a znajduje najczęściej śmierć; a ich trupy wygrzebują hyjeny, szakale i pantery nawet z głębi niegospodarskich mogił!

Powitaliśmy małą znajdującą się tam warownię siedmią wystrzałami z dział; odpowiedziano nam natychmiast tymże sposobem: i kiedy majtkowie odpoczywali po trudach długiej podróży, kiedy kapitan cieszył się ze szczęśliwego przybycia, ja, chcący nowych wrażeń, nowych niebezpieczeństw, wskoczyłem do lichego czółna, które się do korwety zbliżyło i popłynąłem ku lądowi, aby wyzwać do walki lwa i simun, tych dwóch władców pustyni, groźne miasto Cacheo w państwie Kumbo, wyspę Bissao i kilka punktów, należących do Gubernatora Kapu Verde. Anglicy zaś umieli o sobie lepiej pamiętać, zabezpieczyli sobie bogate wybrzeże Portendik, Pisaniją w środku kraju i porty Gillifrey, James i St. Mary przy ujściu Gambii.

źniejszych niż trąby i tyfony piętrzące oceany.

Dwaj czarni wiosłowali: ich czoła i ręce połyskiwały od potu. Przyśpiwywali jakby udając się na bankiet, istotnie mogli mieć nadzieję pobankietować, ponieważ w nagrodę okazanej gorliwości otrzymali kilka sztuk drobnej monety, za którą pewno tegoż jeszcze wieczoru napili się *ognistej wody*, mającej własność nie tylko przywracania sił starganych pracą dzisiejszą lub wczorajszą, lecz nawet pokrzepienia na jutro.

Byłem na brzegu nim jeszcze świtać zaczęło. Wyteżyłem całą siłę mych zmysłów dla słuchania monotonnego koncertu, wygrywanego przez fale rozbijające się u nóg moich; myśl zaś puściłem swobodnie w niezmierną przestrzeń dwóch oceanów otaczających mię do kola; jeden niesforny, groźny, kruszący zuchwałę lloty chcące go ujarzmić; drugi jeszcze straszniejszy, jeszcze niebez-

pieczniejszy może, gdy Simun obudzi go z odrętwiałości.

Byłem znajomy z pierwszym; długi czas byłem igraszką jego kaprysów i gniewów, przywykłem do jego uniesień i gwałtowności; teraz postanowiłem zapoznać się z drugim i zgłębic jego przerażające tajemnice.

Dla mnie przedsięwziąć i spełnić—to jedno. Nie ukazuj mi niebezpieczeństwa, jeżeli nie chcesz abym się w nie rzucił z duszą i ciałem. Wszystko co jest trudnem bawi mnie, wszystko co jest groźnem—zachwyca; przenoszę trud nad przyjemność. Powiedziałem wam kiedyś, że w moje żyły nalano żywego srebra. Muszkiet na ramieniu, szabla przy boku, pistolety za pasem, ładownica na plecach, pugilares w kieszeni; zresztą ubrany lekko wyszedłem z wioski Bann i zapuściłem się w głąb łądu, nie zważając prawie na jakiś zygzag udający dróżkę, który niebawem porzuciłem, ażeby przebiec obszerną pustynię, na widnokręgu

której wznosiły się pionowo długie kolumny czarnego dymu, ginące dopiero w najwyższych warstwach atmosfery: tak doskonała była cisza o tej porze, kiedy jeszcze słońce nie ukazało swojej obszernej tarczy nad horyzontem.

Pięć lub sześć węzów zielonych i szarych wydało ostry świst, podczas gdy w przechodzie deptał zuchwałą nogą spalone trawy otaczające ich legowiska. Przyznaję że musiałem przywołać całą moc mojego postanowienia, aby kończyć zaczęłą podróż.

Postawcie mnie oko w oko z lwem głodnym, z panterą czuwającą nad dziećmi, z tygrysem na czatach, z rozdrażnionym słoniem, z ranionym nosorożcem; lecz nie stawcie mnie ani naprzeciw węża, ani naprzeciw ropuchy: odraza i obrzydzenie pozbawiają mię odwagi; lękam się, nie zęba jadowitego gadu, lecz jego ruchów, jego oślizłej skóry, jego obrzydłej piany, jego

zdradzieckiego czolgania, nareszcie kolorów go pstrzących. Ropucha, wąż, hyjena, oto najstraszniejsi dla mnie nieprzyjaciele, jedyni z którymi nie rad jestem walczyć, a jednak polowałem na boa na wyspie Jawie, w Simao, w Timoa, ulubionej ojczyźnie bawołu, boa i krokodyla.

Po dwóch godzinach pośpiesznego marszu zbliżyłem się do gęstego lasu i skoromweń wstąpił, znalazłem się w obec dwudziestu lub więcej murzynów, pożerających jakieś czworonożne zwierzę. Był to ich bankiet. Na mój widok powstali i przyjacielскими znakami zapraszali do udziału w uczcie. Przyjąłem bez ceremonii zaproszenie i usiadłem pomiędzy starą babą i małym dzieckiem; zjadłem kawał czarnego olejowatego mięsa i napiłem się wody z tykwy. Chcąc zaś wywzajemnić się za gościnność, ofiarowałem parę nożyczek i chustkę, którą rzuciłem na ramiona dziecka bawiącego się z mojem ubraniem.

Dzicy, od których doznałem tak serdecznego przyjęcia, należeli do pokoleń koczujących w okolicach kolonij europejskich, na zachodnim brzegu Afryki i żyjących chwilowo z jałmużny, gdyż huragany opustoszały ich pola i zniszczyły zasiewy.

Dwaj mężczyźni z tej hordy awanturniczej, umieli kilka wyrazów angielskich. A jedna kobieta młoda, piękna, ze spojrzeniem ognistym, z zębami śnieżnej białości, mogła się rozmówić w portugalskim języku. Od niej to dowiedziałem się, że jej towarzysze czekają na drugą hordę koczującą, która ma przybyć. Powodem tego zebrania miały być zaślubiny pięknej tłómaczki mojej z walecznym naczelnikiem królestwa Boni, którego potęga tak była straszna, że nawet faktoryje europejskie drżały przed nim.

Podróżować dla tego tylko aby nie siedzieć na miejscu, jest niedorzeczność. Jeżeli podróże nie mają celu, nie przynoszą pożytku, do czegoż je przedsiębrać? Zmie-

nając często miejsce pobytu, chcę odnieść z tego korzyść moralną. Samo narażenie się na niebezpieczeństwa jest chlubnym, lecz tylko wówczas, kiedy jest użytecznym dla siebie lub bliźnich; inaczej jest szaleństwem.

Zostałem więc między dzikimi, ponieważ chciałem od nich skorzystać: nauczyć się czegokolwiek.

Za nadejściem nocy pokładliśmy się na wełnianych pokryciach, rozciągnionych na ziemi; za kołdry służyły nam skóry lwów, tygrysów i hippopotamów; lecz nie mogłem zasnąć ani na chwilę, będąc zmuszony oganiać się bezustannie od owadów, w rodzaju komarów, brzęczących ciągle, niby daleki odgłos tamburinu. Skóra i uszy moich sąsiadów nie musiały być czułymi na te kąsania i brzęczenia, gdyż wkrótce chrapanie ich połączyło się w jedną nieznośną harmoniją z brzękiem skrzydlatych moich prześladowców.

Przed spoczynkiem, również jak po obudzeniu się, towarzysze moi odmówili krótką modlitwę. Potem każdy mężczyzna i każda kobieta, po kolei, według starszeństwa, umywali nogi w jeziorku, zasilanem przez źródło biorące, jak się zdaje, początek w stromej górze, której wierzchołek rysował się na horyzoncie; po dopełnieniu tych religijnych obrzędów, zabrali się do ogryzania resztek wczorajszego zwierzęcia.

Ja pisałem i rysowałem.

Po skończeniu skromnego posiłku, dzicy tańcowali przy odgłosie bębna, a raczej skorupy żółwiowej, w którą jeden z nich uderzał. Taniec ten, było to nic innego jak ciągle podrygiwanie, z przydatkiem rozmaitych giestów i monotonnego o trzech nótach śpiewu, nóczonego przez obecnych. Przyłączyłem się i ja do ogólnego chóru, za co podziękowano mi tak serdecznymi uściskami, że postanowiłem nadal nie zasługiwać na podobne objawy wdzięczności.

Kiedy nareszcie w skutek zmęczenia tańce się zakończyły, i gdy wszyscy obecni mężczyźni, kobiety, dzieci uczuli nieodbitą potrzebę odpoczynku i bezczynności, pod tem skwarnem słońcem, ciskającym prostopadle promienie na nasze głowy; ujrzałem Kajkae (takie miała imię młoda narzeczona) zbliżającą się ku mnie, która wzięwszy mię pod rękę dała do zrozumienia, że przyjemnie by jej było przejść się ze mną sam na sam. Zaufanie i odwaga są najpewniejszą kartą bezpieczeństwa dla podróżnika; z nią to przebiegłem świat, i nigdy w najdzikszych krajach, pomiędzy ludożerczemi nawet narodami, nie żałowałem szczerości i zaufania im okazanego.

Kajkae, przyznajcie, że imię nie jest zbyt harmonijne, nie wrażała mi żadnej obawy; było to najwięcej szesnastoletnie dziewczę; miała ręce i nogi takie jakichby nie powstydzila się żadna z europejskich piękności. W głosie jej było coś dziwnego i melo-

dyjnego zarazem, a jej uśmiech wyzywający i zalotny, uczyniłby przedsiębiorczym każdego, gdyby sumienie—może ten wyraz nie jest na właściwem miejscu—gdyby powtarzam sumienie nie przypominało, że dziś lub jutro, to cudne dziewczę będzie należało do innego.

Ubiór swawolnicy Kajkae był jak można najprostszy, a jednak nie można mu było odmówić pewnego wdzięku. Za tunikę, obuwie, szal, spódniczkę miała na szyi sznurki paciorków szklanych, związanych z tyłu czerwoną kokardką.

Nie możecie sobie wyobrazić zgrabności ruchów tego dziecka pustyni.— A jednakże wolalbym ją widzieć więcej zakrytą. Skromność i wstyd, nawet pod równikiem wydają mi się koniecznie potrzebnymi.

Szliśmy sobie pod rękę jak dwaj przyjaciele, chciałem powiedzieć jak brat z siostrą, i wkrótce weszliśmy na piaszczyste wzgórze, połyskujące odrobinkami złota i

miki. Zmęczeni usiedliśmy nareszcie pod rozłożystym bananem, którego wspinałe konary i szerokie liście rozciągały nad nami parasol, nieprzepuszczający ognistych promieni słońca. Kajkae biorąc mię za rękę zapytała z wyrazem nieokreślonej ciekawości, czy obszerny to kraj z którego przybywam?

— Bardzo obszerny — odpowiedziałem.

— Kobiet i mężczyzn wiele?

— Daleko więcej niż w Afryce.

— Banany, gojawy, kokosy są?

— Nie ma zupełnie.

— Biedny kraj: kokosów, bananów, gojawów nie ma i ludzie biali!

Bogowie afrykańscy są czarni jak heban, za to duchy piekielne są tegoż koloru co europejczycy, i gdyby jaki światły blondyn znalazł się w gromadzie którą studyjowałem, niezawodnie byłby przedmiotem żartów i urągania.

— Więc, — mówiłem do mojej towarzyski, która jak widzicie nie wysilała się na komplementa—nie jestem piękny w twoich oczach?

— Ty brzydki, ty biały.

Uważajcie że ja mam cerę hiszpańską.

— I nie chciałabyś mię za męża?

— Później może, teraz nie.

Niechże powiedzą że Europa nie odbija się na stepach afrykańskich!

Chcąc sobie wynagrodzić rodzaj poniżenia, którego doznał od mojej ciekawej towarzyski, pytałem ją nawzajem, udając niby że nie wiem, czy są w jej kraju choć gdziekolwiek daleko wspaniałe domy, ludne miasta, piękna broń wojenna?

— Domy—to budy sklecone w jednej chwili; lasy, góry, równiny, rzeki, morza; pływamy jak ryby.

— Tak, wszystko to dobrze; lecz nie macie ludzi białych.

— Tęm lepiej: biały to chytry, złośliwy.

— Sądziłabyś, że ja chciałbym ci co złego uczynić?

— Nie. Ty sam, ty nie dość silny.

O narody cywilizowane! Oto są pojęcia które zaszczepiacie w sercach tych ludzi, rozproszonych po wszystkich archipelagach i wielkiej części lądu stałego. Przynosicie im wasze kunszta, wasz przemysł, waszą religiją, lecz dla czegoż zaszczepiacie w nich i wasze występki?

Miałem jeszcze o coś pytać Kajkaë, kiedy ona nagle się pochyliła, przyłożyła ucho do ziemi, i po chwili odskoczyła wołając: hyjena! hyjena!

Chciała uciekać, lecz wstrzymałem ją za ramię i podałem swoją szablę, którą pochwyciła z pewnym rodzajem dziecinnęj dumy; ja tymczasem z pistoletem w rękę przygotowałem się do walki, myśląc w duchu: wybornie! Otóż jeszcze jeden ustęp, niespodziewany wprawdzie, lecz któremu

rad każdy podróżny, życzący mieć cokolwiek do opowiadania za powrotem do domu.

Zwierzę tymczasem zbliżało się ku nam złodziejskim krokiem, z otwartą, smrodem ziejącą paszczą, rozrzucając w przechodzie jadowitą pianę, jeżąc ostre uszy i sierć czerwonawą, nieregularnie nakrapianą, zamiatając piasek wlokącym się ogonem. Na dwadzieścia kroków przed nami hyjena się wstrzymała, drżąc całym ciałem i rzucając na nas złodziejskie spojrzenia, na jakie tylko ona zdobyć się może.

— Strzelaj! — zawołała Kajkaë, występując cokolwiek naprzód.

— Jeszcze nie! — odrzekłem — ta odkopywaczka trupów jest tchórzem jak każda podła istota, zatem niegodna prędkiej śmierci. Konanie jej niech będzie długie. Ona by nas nie oszczędziła, gdyby zastała śpiących lub bezbronnych.

Rouvier, mój przyjaciel z przylądka Dobrej Nadziei, powiadał mi, że wstyd mu

było zabijać hyjenę kulą. Kolba—oto dla niej oręż stosowny.

Ale potrzeba było skończyć nareszcie z obrzydliwem zwierzęciem. Zaleciwszy więc towarzyszcze mojej aby pozostała na miejscu, sam z pistoletem w rękę postąpiłem naprzeciw czworonożnego gadu. Zwierzę się najeżyło, przypadło trochę ku ziemi, potem stanąwszy dęba oczekiwało walki. Jego oddech zatruty dochodził aż do mnie i sprawił mi rodzaj zawrotu. Już miałem wypalić, gdy hyjena susem poskoczyła ku mnie, a ja strzeliłem w lot.

— Czy zabita? — zapytała Murzynka.

— Zabita — odrzekłem.

— Unieśmy ją.

Kajkae zbliżyła się, ażeby ją ująć za ogon, lecz nikczemny i chytry zwierz czyniąc ostateczne wysilenie, wyciągnął nagle szyję, otworzył paszczę i ukąsił moją młodą przyjaciółkę poniżej kolana. W tejże chwili kolba od pistoletu strzaskaniem głowę hyjeny i od-

darłszy kawał płótna od koszuli, pospieszyłem obwiązać ranę mojej towarzyszki.

— To nic — mówiła uśmiechając się z wyrazem anielskiej łagodności.

— Oh! może to i bardzo wiele.

— Nie, mój dobry biały, to nic.

Odgłos wystrzału rzucił popłoch w gromadę koczującą. Wkrótce ujrzelśmy biegnących ku nam towarzyszków Kajkae, lecz zwolnili kroku, ujrawszy nas w dobrém ze sobą porozumieniu. Za zbliżeniem się oznajmili, że postrzeżono w dali karawanę Dehahe, narzeczonego o którym opowiadano tyle cudów waleczności.

O! cóż to była za radość, jakież to żywe uniesienie tych ludzi tak zbliżonych do natury, a tak dalekich od naszej cywilizacji, kiedy oczekiwana karawana nadeszła i kiedy już mogli porozumieć się z sobą. Jednakże Dehahe zmieształ się w mojej obecności i zwracając ku mnie wzrok gniewny, możeby uczynił jaką zaczepkę, gdyby nie Kaj-

kaé, która poskoczyła ku niemu i kilką słowami rozbroiła jego zawziętość. Z jej wyrazistych pantomin pojąłem, że opowiadała śmierć hyjeny. Wówczas Dehahe zbliżył się ku mnie, położył ręce na moich ramionach i dotknąwszy trzykrotnie czołem swoim o moje, prosił abym przyjął w podarunku piękny sagaj. Przyjąłem bez ceremonii, lecz nie chcąc okazać się mniej wspaniałomyślnym, zdjąłem prędko z siebie swoją kamizelkę i podarowałem mu ją nawzajem z tą samą ceremoniją.

Potém wszyscy zasiedli, rozmawiali, rozmawiali długo klaskając jednocześnie rękami. Po półgodzinném oczekiwaniu, kiedy twarz i ramiona narzeczonej były zakryte, namiętny kochanek powstał, poskoczył jak szakał i znalazł się obok swojej lubej; zerwał pokrywające ją zasłony i usiadł tuż przy niej, wymawiając jakieś słowa urywane, jednosyllabowe, lecz dźwięczne i harmonijne.

Eskorta Dehahe składała się najmniej ze stu ludzi, drżących na każde słowo, na każde skinienie straszliwego wodza. Zawołał, i z tuzin mężczyzn i kobiet stojących dotąd w ostatnim rzędzie, zbliżyło się mierzonym krokiem i złożyło przed narzeczoną podarunki, składające się z owoców. Potem zerwawszy przepaskę ją otaczającą, dostał hebanowe pudełko i wyjął z niego ze dwanaście dużych pereł, dziwnie pięknej wody. Kajkae przyjęła je z zalotnym uśmiechem i szczęśliwy wojownik, któremu w tym czasie przygotowano posłanie, rozciągnął się na przepysznych skórkach lwów i tygrysów, złożywszy głowę na kolanach narzeczonej.

Wówczas, nimem się udał na spoczynek, mogłem dowolnie napatrzeć się postaci tego nadzwyczajnego człowieka, o którym aż dotąd faktoryje angielskie zachowują straszliwe wspomnienia. Uroda jego była wyższą od zwyczajnej; gęste, wełniste włosy zakrywały mu czoło spłaszczone; pierś je-

go wydawała się kwadratową, ramiona były mięsiste, rodzaj drgania nerwowego poruszał bezustannie twarz jego szeroką i lipką. Dodajmy do tego gębę od ucha do ucha, nos straszliwie spłaszczony, kości twarzy wydatne. Jak u tygrysa uśpionego, muszkuły rozszerzały się i zbiegały w nierównych przerwach; jego oddech podobny był do groźnego warczenia. Dehahe zrodzony w pustyni, przedstawiał sobą wszystko to, co ona mieści ponurego i fatalnego. Oprócz chwil w których obowiązek zmuszał go do mówienia, ciągle milczał: straszliwe to było milczenie dla każdego, co się ośmielił zbliżyć do tej niezwykłej istoty.

Zacząłem był rysować jego portret; lecz Kajkaë zmusiła mnie do zaprzestania i ukrycia roboty, lękając się, jak powiadała, aby Dehahe dowiedziawszy się o tém, nie pomyślał o zamiar wskazania rysów jego nieprzyjaciółom, to jest białym.

Miałem już rozciągnąć się na posłaniu, dotąd przez nikogo niezajętem, gdy przyszło mi na myśl uścisnąć na dobranoc rękę mojej przyjaciółki, i znalazłem ją w gorączce.

— Co ci jest? — zapytałem.

— Nic, zupełnie nic.

— To być nie może.

— Mam wszystko, i lękam się wszystko stracić od razu.

— Dla czego?

— Głowa mi krąży, wewnątrz pali.

— To rozkosz—nieprawdaż Kajkae?

— Nie, nie rozkosz lecz gorączka. Idź spać, a jutro przyjdź powiedzieć mnie dzień dobry.

Zaledwom układał się na posłaniu, gdy w tejże prawie chwili wstrzęsło mną dotknięcie jakiegoś ciała miękkiego i wilgotnego zarazem. Podniosłem się i uważniej spojrzałem na moje wezglowie; wyobraźcie sobie mój przestrah i zdziwienie, kie-

dy pomiędzy fałdami posłania ujrzałem głowę boa!

Wąż był przyswojony: jeden z moich sąsiadów wstał, chwycił go dość niegrzecznie nawet za szyję i po kilku groźnych słowach i ostrém gwizdnięciu, potwór popęzł do przygotowanego mu legowiska i zwinąwszy się w kłęb, układał na niem.

Księżyc w pełni zastąpił słońce na sklepieniu niebios, powietrze było świeże, natura cała w spoczynku i cichości; a jednak ziemia jakimś dziwnym i nieprzerwanym szmerem opowiadała nocy, ile dzień przeszły był skwarny i ognisty.

Uderzenie w bęben rozbudziło całą gromadę. Był to znak do rozpoczęcia ceremonii ślubnej. Dehahe powstał wyniosły i pyszny, jakby miał udac się na krwawą walkę; Kajkae stanęła tuż obok niego, wszyscy zaś inni otoczyli do kola małżonków. Dehahe ubrał głowę, ramiona i gors swojej małżonki kawałkami kości słoniowej, na-

wleczonemi na drut mosiężny; potem z pomocą kawałka zaostzonego drzewa, rysuje jakieś dziwne figury na jej plecach i udach. Kajkae drży całym ciałem.

Strwożony oblubieniec pyta co jest? W tej chwili młoda kobieta wydaje krzyk przeraźliwy, wyciąga ramiona, kręci się chwilę na jedném miejscu, chwieje się i upada skostniała na ziemię.

Przybiegam na ratunek.... nie żyje!

W jednej chwili stwardniała jak żelazo; ręce i nogi zesztyniały tak, że nie można było ich ugiąć. Oczy miała otwarte i wytrzeszczone, język zczerniał i wilgotny, a przez wszystkie otwory sączyła się krew czarna i zepsuta. Hyjena zrobiła swoje, jad rozszedł się prędko po arteryjach nieszczęśliwej i mogiła którąśmy przykryli gałęzmi, zamieniła jej łoże małżeńskie.

Dehahe pełen rozpaczy opuścił nas prawie natychmiast; wkrótce potem dzienniki londyńskie opisywały szczegóły straszliwej

rzezi, sprawionej przez groźnego władcę tych stron.

Był to zarazem czuły i rozrzewniający widok tej biednej młodej dziewczyny, niedawno tak żywej i wesołej, tak pełnej życia i przyszłości, teraz nieruchomej na całą wieczność!

Cała gromada: mężczyźni, kobiety, dzieci obchodzili smutni do koła trupa, śpiewając jakąś pieśń monotonna; przechodząc mimo nóg, każdy zginał kolano, a przechodząc mimo głowy, każdy się nachylał pobożnie i trzykrotnie czołem swoim dotykał czoła zmarłej.

Obie gromady wykopały dół, mogący mieć pięć stóp głębokości. Przed pogrzebaniem trupa, każdy z obecnych rzucił w mogilę jakikolwiek przedmiot, jako dowód żalu i pamięci; i nareszcie, uwinąwszy niešťczęśliwą Kajkaę w materyje podarowane przez narzeczonego, spuszczo ją lekko do grobu na wieczny odpoczynek. Zresztą ani

jednej lzy, ani jednego słowa, żadnego wy-
rzekania. Rzekłbyś, że całą tę boleść chcieli
zamknąć w sobie, ażeby jej pamięć dłużej
zachować.

III.

Tygrys i Pantera.

Trzy dni pogody, odpoczynku i wygodnych przechadzek znudziły mnie, już zacząłem tęsknić do moich dawniejszych wędrówek, pełnych niebezpieczeństw, a więc i wrażeń; gdy gęste obłoczki wznoszące się nad ziemią na południowym krańcu horyzontu, zapowiedziały jakiś szczególny przypadek, jakieś może nowe niebezpieczeństwo, nową rozrywkę, nową rozkosz. Spojrzałem na wielbłądy, były nieruchome, wniosłem z ich obojętności, że to

nie było nic groźnego: ani burza, ani zwierzę dziki. Cóżby więc to być mogło?

Była to karawana zabłąkana w pustyni, którą przebiegała z południa na północ; zboczyła na wschód, spodziewając się znaleźć przewodnika, a nadewszystko źródło wody słodkiej, ponieważ głód i pragnienie zdziesiątkowały jej ludność, składającą się z Arabów i Murzynów z Angoli (1). Nigdy

(1) *Angola*, państwo położone w Afryce w Nigrycyi południowej, rozciąga się na brzegach Afryki od przylądka Lopez, aż do San Felipe de Benguela, od 1 do 12 stopni szerokości południowej. Miasto stołeczne tego kraju nazywa się Loando. Królestwo Angola należy do Portugalii. Z Bengelą i kilkoma twierdzami w Congo położonemi, formuje kapitaneryją jeneralną Angoli i Congo. Niegdyś zakupowano tutaj niezmierną ilość niewolników, dziś dzięki Anglikom, handel ten zbrodniczy ustał. Kraj obfituje w proszek złoty, w kość słoniową, gummę, rozmaite substancyje lekarskie, żelazo, miedź, wosk, miód, pieprz turecki, olej palmowy i t. d.

nie widział tak obojętnego, tak smutnego spotkania. Za ledwo wzrokiem powitali jedni drugich; dawniej przybyli nowo przybyłym ustąpili źródło, w którym gasiliśmy pragnienie, potem nastąpiły z obu stron rozmaite zamiany i nareszcie obie gromady rozlokowały się blisko siebie do odpoczynku, ale to tak obojętnie, jakby ci ludzie błądzący po pustyniach afrykańskich, nie byli dziećmi jednej i tejże samej ziemi, jakby ich nie ogrzewało jedno i toż samo słońce, jakby nie podlegali wściekłości tychże samych żywiołów. Gdzież jest ojczyzna tych czarnych i śniadych ludzi? Step, wzgórze, pustynie, lasy, czy to ich ojczyzna? Nie, ojczyzną ich jest świat cały: raczej oni nie mają ojczyzny.

Odpocząwszy nieco wstawali, później się kładli; wstawali i kładli się znowu; pili u wspólnego źródła, jedli jedne i też same pokarmy; potem Arabowie i Murzyni odmówili razem modlitwę: pierwsi do Mahome-

ta, drudzy do palmy, krokodyla, lamparta, słońca, pnia, węża, i tym podobnych fety-szów.

Po modlitwie, namioty przybyłej karawany zostały w mgnieniu oka zwinięte. Już mieliśmy rozejść się nie pożegnawszy jedni drugich, gdy zbliżywszy się do araba mówiącego trochę po portugalsku, zapyta-łem go dokąd się udaje?

— Mekka, odpowiedział.

— Lecz wprzód?

— Wprzód, pustynia.

— A później?

— Później Marokko.

O małym nie podskoczył z radości. Karawana dążyła do Marokko, lecz nim dojdzie do tego miasta, ileż wprzód będzie musiała przebyć niebezpieczeństw? Będzie musiała opuścić pas zarośli i lasów, oddać się od brzegów morskich, zabłąkać się, że tak powiem, w sam środek pustyni, przetrząść się w prostej linii przez całą jej

szerokość zachodnią, a tego właśnie było mi potrzeba, to urzeczywistniało wszystkie moje marzenia.

Po mokrych falach oceanu, suche fale Sahary: jedna rozkosz następująca w ślad za drugą; widzicie, że dla człowieka pragnącego wiedzy, nie wszystko jest cierpieniem na tym świecie. Za pomocą kilku sztuk kuglarskich, pozyskałem przychyłność dwóch lub trzech naczelników karawany; objawiłem im swój zamiar podróżowania z nimi aż do Marokko, na co się zgodzili, jeżeli nie z wielką przyjemnością, to przynajmniej bez wstrętu.

W godzinę później byliśmy już w drodze.

Cztery wielbłądy, obładowane worami skózanymi z wodą, poprzedzone przez dwóch Arabów, z których jeden uzbrojony był trójzębem żelaznym, drugi zaś rogiem, na głos którego inni trębacze postępujący w pewnych odległościach odpowiadać byli

powinni, poprzedzało pochód karawany. Za wielbładami postępowało dwudziestu wojowników, uzbrojonych w szable i karabiny, każdy z nich oprócz tego, prowadził za cugle po jednym koniu, na którym siedziały kobiety lub dzieci. Odległość blisko dwóch set kroków dzieliła ten pierwszy zastęp od drugiego, który takimże sposobem był oddzielony od trzeciego i następnie. Czwarta kolumna była niby skarbcem ogólnym karawany, gdyż w niej mieściły się wszystkie bogactwa pielgrzymów: to jest pewna ilość piasku złotego, skóry lampartów, lwów, tygrysów i znaczny zapas zębów słoniowych.

Cała karawana długością swoją zajmowała blisko pół mili. Piasek podniesiony jej pochodem przemieniał się w obłok pyłu i zajmując przestrzeń między oddziałami, łączył takowe. Kiedy stanąwszy na szczudłach przypatrywałem się o świcie lub o zmroku temu dziwnemu pochodowi, który

stosownie do miejscowości, raz wznosił się, drugi raz zniżał; myślałem nie raz, że to pełnie boa potwornej wielkości, przecięty na kilka części, z których każda stara się doścignąć i spoić z drugą, aby tym sposobem złożyć całość.

Nazajutrz po naszym odjeździe, dosięgliśmy granicy odwiecznych lasów, wznoszących się na tej ziemi dziwacznej i przekłętej. Po trzygodzinnym zaledwo odpoczynku na równinie otoczonej ze wszech stron prawie nagimi skałami, wznoszącymi nad ziemią szerniałe wierzchołki, niby widma żadne powietrza i światła, na pierwszy odgłos konchy morskiej, w którą zadał jeden z drugorzędnych przywódców wyprawy, ruszyliśmy w dalszy pochód.

Nie widzieliśmy już więcej ani drzew, ani bujnych roślin, ani cienia, ani zieloności; rosły tylko ciernie i kupki trawy żółtopopielatej, po której, bez doznania bólu,

mogły jedynie stąpać rogowe kopyta koni i dromaderów. Tą razą bardzo mi się przydała moja umiejętność chodzenia na szczydłach, lecz biedni towarzysze moi, którzy musieli iść piechotą i boso, mieli wieczorem nogi pokaleczone i zranione.

Dążąc ciągle ku wschodowi, karawana przebyła wkrótce pas ciernisty i weszła w pas kamienny, również trudny do przebycia. Kiedy niekiedy węże szare i upstrzone, podobne do tych, którem widział nad brzegiem morskim, przestraszone naszym pochodem, wydawały świst i zmykały szybko z drogi w spokojniejszą uchronę. Zwierzątka zaś jakieś podobne do szczurów (1), małe, z ostrym pyszczkiem,

(1) Zwierzątka podobne do szczurów. Jest to mowa o szczurze Faraońskim, czyli Ichneumonie, zwierzęciu zwanem w Egipcie Nems. Podobną to do kuny owa drapieżna istota, krótkie ma bardzo nogi z pazurami kociemi, bardzo gęstą i twardą sierć koloru brunatnego, siwemi pierścieniami nakrapianą.

stawały na nasz widok na tylnych łapkach, jakby chcąc powitać pielgrzymów i upadały martwe od uderzenia kija, bicia lub strzały murzynów. Mięso tych zwierzątek służyło nam za pokarm, oszczędzając tym sposobem zapas żywności, którym wielbłądy były obładowane; z miękkich zaś ich skórek robiliśmy sobie rodzaj obuwia, ochraniającego nasze nogi od ostrych kamyków, któremi usłana ziemia tamtejsza.

Ichneumon żyje małemi zwierzątkami ssącemi, gadami, a przedewszystkiem ich jajami, które umie bardzo zręcznie wynajdywać pod piaskiem, zresztą bardzo drapieżne ma instynkta i często całemi się ukazuje chmarami. Mięso ich wcale pożywne i smaczne. W starożytnym Egipcie Ichneumon liczony był pomiędzy święte zwierzęta, pielęgnowano je w domach z wielkim szacunkiem, dla tego, że jaja krokodyłów niszczył. Przed dwoma laty mieliśmy sposobność oglądać tu w Warszawie w menażeryi Preuszera na Nalewkach piękny egzemplarz Ichneumona, który teraz znajduje się w szacownym zoologicznym zbiorze w pałacu Kaźmierowskim.

Nareszcie piasek zajął miejsce kamieni i tu to właśnie zaczęła się prawdziwa pustynia.

Stanęliśmy na odpoczynek. Klepsydry każdego oddziału karawany, oznaczające godziny porównano, naczynia z wodą opatrzone, wielbłądy słabsze i które, jak się zdawało, nie mogły wytrzymać dalekiej przez pustynię podróży pozabijano. Mięso ich także posłużyło do oszczędzenia żywności zapasowej, zachowywanej przezornie na chwilę ostateczności.

Po raz trzeci namioty były ustawione; a po raz pierwszy, wszyscy razem zmówiliśmy ogólną modlitwę do Przedwiecznego. Trzeba było podziwiać silną i gorącą wiarę tych ludzi, którzy upadłszy twarzą ku ziemi, zwróceniem na wschód błagali Boga i proroka, ażeby pustynia nie stała się dla nich grobem.

Nieba snadź wysłuchały modły serc naszych. Ledwośmy skończyli modlitwę, dał

się słyszeć ryk straszliwy: wielbłądy tejże chwili zaczęły drżeć konwulsyjnie, konie przerażone, z powstałą grzywą, tuliły się jedne do drugich, zwracając się tyłem ku nieprzyjacielowi, jak gdyby pogardzały jego widokiem, albo raczej jak gdyby nie chciały widzieć przybycia grożącej im śmierci. Arabowie, przyzwyczajeni do scen podobnych, stanęli na przodzie karawany; czarni zaś, nie wiedząc co z sobą począć, zdawali się oczekiwać rozkazu, do zajęcia jakiegobądź stanowiska.

Skoro tylko lew albo tygrys odważą się rzucić na karawanę, rzadki wypadek, ażeby ofiarą ich nie stała się jaka żyjąca istota; a ponieważ instynktem zwierzęcym przeczuwają, że ludzie są najgroźniejszymi dla nich nieprzyjaciołmi, na nich więc najchętniej zwracają swoje wściekłość i w ich krwi, krwi żądzę ugasić pragną. Bardzo więc rzadko, bez straty w ludziach podobne spotkanie przechodzi.

Stałem na szczudłach i będąc tym sposobem wyżej wzniesionym od jeźdźców, mogłem dalej sięgnąć okiem. Postrzegłem więc i wskazałem swoim towarzyszom punkt, z którego ów ryk pochodził, w tę więc stronę zwrócone zostały wszystkie siły nasze i bacność. Z tej strony przybywał w susach przepyszny tygrys. Myśmy postępowali naprzeciw niego. Zlazłszy z mego sztucznego podwyższenia, stanąłem obok Zingæ, najwaleczniejszego z pomiędzy wojowników karawany, który rozkazał kilku murzynom drżącym i do reszty zgłupiałym z przestachu, aby nam towarzyszyli. Zapytałem go za pomocą pantomin, na co brał ze sobą tych tchórzów; odpowiedział mi tymże sposobem, że potrzeba było poświęcić którego z tych nieszczęśliwych, dla ochrony waleczniejszych i ażeby łatwiej zakończyć rozprawę z drapieżnym zwierzęciem.

Wkrótce tygrys zbliżył się ku nam na strzał. Spojrzeliśmy uważnie na panewki naszych karabinów; gdy niespodziany wypadek przemienił nas z aktorów na widzów spektaklu, mogącego przytrafić się tylko najszcześliwyszemu podróżnikowi.

Niedaleko od miejsca na którym staliśmy, wznosił się pagórek z piasku połyskującego z różowem odcieniem; z za pagórka dostrzegliśmy wznoszącą się parę, którą natychmiast lekki powiew wiatru rozpędzał.

W tejże samej chwili wydano rozkaz obejść pagórek. Postąpiwszy cokolwiek na lewo, postrzegliśmy zaraz przepyszną panterę, leżącą przy kupie kości ogryzionych i karmiącą dwoje małych.

Zingæ zrobił znak abyśmy zachowali się spokojnie, dając mi do zrozumienia, że to nie nam wypada przygotować się do walki.

Mniejsza o to, pomyślałem, bylebyśmy byli widzami dramatu. Tygrys przeciwko

panterze, dobre i to, chociażbym wolał walkę człowieka przeciwko tygrysowi i panterze razem.

Zrozumiał widac wicekról pustyni, że karawana za liczna, eskorta waleczna; wolał więc zwrócić się przeciwko nieprzyjacielowi, nad którym więcej miał widoków odnieść zwycięstwo.

Mogliśmy się spodziewać walki krwawej i zażartej, gdyż z jednej strony stawał tygrys, uosobienie okrucieństwa, z drugiej pantera, broniąca swojego życia i swojego potomstwa.

Spojrzenia dwóch szermierzy, to błyskawice; ich ryk, to grom; ich oddech, to groźba; ich zęby, to kleszcze do ściskania i kruszenia; ich pazury, to haki do wyciągania wnętrzości. Głowy ich przybierają wyraz straszliwy, skóra się marszczy, sierć najeża, całe ciało drży ze wściekłości. Jako zapowiedź gniewu i nienawiści, ich paszcze wyziewają smrodliwy oddech: jest to obie-

tnica bankietu, a tym bankietem będzie trup jednego z nich dla pozostałego przy życiu.

Język u obydwóch wrogów podobny do szerokiego żądła, albo raczej płomienia; z otwartych paszcz zdaje się słyszeć chrapliwe i podziemne warczenie.

Pantera pozostaje nieruchoma, tygrys zbliża się ku niej. Nie jest to już czworonożne zwierzę idące z podniesioną głową; jest to raczej gad, który zwija się, czółga, pełźnie i nie tylko chce zwyciężyć, ale i napastwić. Czuje on, że zwycięztwo nie jest zbyt łatwe; zależy ono od pierwszego starcia, które jeśli się nie uda, to nie on pantery, lecz pantera jego krew wypije. Wszakże żądza niepohamowana krwi przemaga rozumowanie. Krew', to jego życie, jego namiętność, jego rozkosz; ona zaspakaja jego pragnienie, lecz nigdy do sytości, on jej zawsze żądny, a ponieważ spodzie-

wa się wyssać krew pantery, jest więc szczęśliwy tą nadzieją.

Pantera, to także z rasy tygryziej, pozostaje na pozór spokojna, obojętna, nieruchoma, zakrywa sobą swoje dzieci, które nie przeczuwając niebezpieczeństwa igrają z sobą, kłapiąc się wzajemnie. Zabawa tygrysów lub panter zostawuje na ciele krwawe bruzdy i rany głębokie.

Dwaj przeciwnicy udają że nas nie widzą, a może mało dbają o naszą obecność. Co do mnie, za skarby świata całego nie ustąpiłbym swojego miejsca. Zdawało mi się, że się cofnął o jakie półtora tysiąca lat i byłem obecny jednej z owych walk dzikich zwierząt, które następcy Cezara, w jego mieście wyprawiali ludowi; byłem niby na stopniach cyrku Nerona.

Tutaj cyrkiem była pustynia Sahary, szermierzami tygrys i pantera, dwoje młodych, silnych, drapieżnych zwierząt, które nie znały niewoli.

Jakby za danym znakiem, zwierzęta rzuciły się ku sobie, już ich paszcze się kasa-
ją, pazury zagłębiają się w cielsko. Pierś
przeciw piersi; dwa serca przepelnione
wściekłością biją jedno przy drugim. Rzekł-
byś dwaj przyjaciele, którzy nie chcą się
rozłączyć, albo raczej dwaj nieprzyjaciele,
co rozpoczęli walkę śmiertelną, której
przynajmniej jeden z nich nie przeżyje.

Już piasek zakrwawiony; lecz życie nie
łatwo opuszcza takich szermierzy. Potrzeba
gromu, ażeby przerwać nić życia lwa lub
tygrysa.

Zdumiony, rozzłoszczony oporem do
którego nie przywykł, tygrys odskakuje
i udaje zamiar oddalenia się. Pantera oddy-
cha, skrwawionym językiem liże zranione
boki. W tej chwili tygrys rzuca się nagle
na jej dzieci: jedno rozrywa pazurami, dru-
gie dusi paszczą i odwraca się przodem
do matki, jak gdyby chciał nacieszyć się
swoim tryjumbem a jej boleścią.

Tryjumf ten miał być krótko trwałym pantera powstaje: straszna, zażarta, wściekła... widzi potomstwo swoje zamordowane i... staje się lwicą!... Rzuca się na mordercę swoich dzieci... i tygrys uległ i nie powstał więcej.

Chciałem darować życie walecznej panterze, lecz kula Zingæ inaczej rozporządziła. Nazajutrz cztery trupy służyły za pastwę drapieżnym mieszkańcom téj obumarłej pustyni.

Trzeba było widzieć ożywienie karawany, dotąd bacznej i milczącej: mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, każdy opowiadał wypadek, którego przed chwilą wszyscy byli świadkami. Żaden szczegół tego krwawego dramatu nie uszedł ich uwagi. Radowali się, pysznili wszyscy, że byli jego widzami, jak gdyby ten krwawy wstęp podróży nie był przepowiednią jakiej katastrofy spotkać nas w przyszłości mogącej.

Ale najciekawszém dla badacza, było zachowanie się w tym czasie koni i wielbłądów naszych. Dopóki walka trwała, zachowały one zupełną nieruchomość, tuliły się jak mogły jedne do drugich, tylko po nerwowym drganiu skóry i muszkułów odgadłbyś strach śmiertelny, którym były przejęte. Po ustaniu zaś walki, kiedy tylko cztery trupy zostały na placu, wielbłądy i konie pojęły, że już nie ma się czego obawiać i przybrały postawę spokojną, pewną siebie, jakby nic nigdy takowej nie zakłóciło.

Skóry zwierząt z powodu podziurawienia, okazały się nieużytecznymi, zostawiliśmy je dla sępów pustyni.

Na odgłos trąby puściliśmy się w dalszy pochód, zwracając go ku północy.

IV.

N a w a l n i c a .

Dawno już minęliśmy las, przy którym odbyła się walka. Następny dzień przeszedł spokojnie i bez żadnego szczególnego wypadku; już miał się ku schyłkowi, rozlokowaliśmy się więc na obszernej równinie, z pośród której wznosiły się gdzie niedziedzie pagórki połyskującego piasku.

Pojmujecie dla czego karawany woła odpoczywać pośród pustyni, z dala od wszelkiej roślinności, a tém bardziej od

gęstych lasów, zwykłego schronienia wę-
zów, lwów i tygrysów. ❧

Nazajutrz już z rana przeczuwaliśmy, że dzień będzie okropny. Nie dostrzeżliśmy najmniejszego ruchu w powietrzu, najmniejszego obłoczka na firmamencie. Czuliśmy na naszém ciele jakieś nieustanne szczypanie, a pot kroplami występował na czoło, nawet w cieniu.

Nareszcie, w dali, na horyzoncie postrzegamy mały, nieprzejrzysty, czarny punkcik, który wkrótce podnosi się, powiększa, rozszerza; powiększa jeszcze bardziej, zajmuje znaczną jej przestrzeń, a dzień przyćmiony i zbladły grobową bladością oświeca całą tę scenę. Nie, to już nie są złociste promienie słońca; jest to raczej opalowe światło księżyca, przyświecające ruinom. Puch najlżejszy puszczony z wysokości upadłby na ziemię prostopadle, tak atmosfera była rozrzedzona i spokojna. Niekiedy jednak błyskawice przerzynają

tę masę powietrza, która nas otacza i dusi. Ogień ten wylata z zenitu, we wszystkich kierunkach przebiega atmosferę i ginie daleko gdzieś za horyzontem. Jest to niechybna przepowiednia jednej z owych burz zwrotnikowych, zarówno groźnych na lądzie jak i na morzu.

I oto ją macie: rozpoczyna się dużemi kroplami wody gorącej, spadającemi z gwałtownością kamienia ciśnionego z procy; ziemia jęczy od tych bezustannych uderzeń... Wkrótce objętość kropeł się zmniejsza, lecz za to powiększa ilość, ulewa staje się gęstsza, spada na nasze głowy z niesłychaną gwałtownością, ryje w piasku głębokie rowy, rozwala namioty, a wielbłądy od tych ciągłych ćwiczeń kroplistych miotają się jakby od uderzeń węzłowatego bicia przewodnika.

Ale jest to tylko wstęp do burzy, niby zapowiedzenie straszliwego starcia żywiołów. Jakoż razem firmament się roztwiera

tysiące piorunów uderza, powietrze grzmi i płonie, ogień i woda zdają się staczać walkę o władztwo świata; i gdy zygzaki piorunów i błyskawic oślepiają chwilowo, ażeby potem pograć w większą jeszcze ciemność, całe góry wody spadają z wierzchu dla ugaszenia pożaru, który zdaje się jeszcze rozszerzać i powiększać od tego oporu. Rzekłbyś, że ocean opuściwszy chwilowo łożysko swoje, rzuca się z całą gwałtownością na ląd, ażeby zająć w posiadłość te miejsca, z których mu Stwórca w dniach stworzenia ustąpić kazał.

Jednakże nawałnica nie wsiąknęła w głąb' ziemi, powierzchnia jej tylko została nią dotknięta; wkrótce więc morze piasku zostało przemienione w morze płynne, które leci, porywa, unosi, obala, niszczy wszystko co tylko napotka.

Karawana rozpierzchła się z początku, lecz wkrótce, powodowana instynktem zachowawczym, zebrała się na wzgórzach

piaszczystych, gdzie znalazła schronienie zabezpieczające ją od tego chwilowego potoku. Prawie wszyscy znaleźliśmy się razem, i z tego przypadkowego belwederu poglądaliśmy i podziwialiśmy straszliwe widowisko.

O! nigdy okazalsza panorama nie przedstawiła się oczom podróżnika! Nigdy groźniejsze widowisko nie otaczało go wszechstronnie. Nigdy śmierć i zniszczenie nie groziły mu tak z bliska! Wyobraźcie sobie niezmiernie okiem morze z przyływem i odpływem, którego fale doganiają jedna drugą, ścierają się ze sobą, pienią, spadają niby kaskady w otchłanie, które same sobie wryły i giną w nich ze straszliwym losko-tem, unosząc trupy węzów i zwierzęta, starające się całą siłą muszkułów oprzeć gwałtowności pędu. A za arkę wśród tego jednodniowego, albo i kilkogodzinnego oceanu, służyły nam wierzchołki piaszczystych wzgórz, które także lada chwila ustę-

pując gwałtowności pędu, mogły być rozmyte i zniszczone.

Kiedy nareszcie burza wywarłszy całą gwałtowność swoją, przeniosła się dalej, trzeba było widzieć tę mglistą przestrzeń bez granic, przybierającą nową formę, nową powierzchność, przechodzącą wszystko co nauka wyrachować, a pojęcie ludzkie przewidzieć mogły. Wody ustępują, upływają, spadają w pieczary, znikają, uciekają jak nieprzyjaciół zwyciężony; a na opuszczonem przez nie miejscu powstaje silna i bujna roślinność, o której możnaby powiedzieć, że przez odwet stara się przywłaszczyć sobie ziemię.

Trzy godziny burzy, to były trzy godziny cierpienia, konania, lecz i podziwienia razem... Nasze namioty zostały poszarpane, zapasy podrózne uszkodzone; nie straciliśmy jednak nikogo ani z ludzi, ani ze zwierząt; co do mnie, byłem bardzo rad z tego fenomenu meteorologicznego, gdyż mogłem

porównać nawałnicę w pustyni z nawałnicą na oceanie.

Jedna i druga mają swoją imponującą wielkość; wszakże niebezpieczeństwo jest większe w pośród tych niezmiernych, milczących pustyni, aniżeli na pełnym morzu.

Trąba się odzywa; druga, trzecia, czwarta odpowiadają na ten znany sygnał, i w chwilę potem, namioty nasze rozpięte, przytwierdzone do ziemi żelaznemi; drągami i cała karawana odpoczywa, w oczekiwaniu nowych trudów.

Pierwszy popas odbywa się zwykle z rana, zaraz po wschodzie słońca, drugi o zachodzie; a ponieważ w krainach między zwrotnikowych zmrok jest krótkotrwały i noc prawie bezpośrednio następuje po dniu, więc zaraz po wieczery, jeśli księżyc nie oświeca pochodu, układamy się na noc. Pomiędzy temi dwoma popasami, każdodziennie o południu zatrzymujemy się dla

rozdzielenia napojów; nie rzadko się zdarza, że takowy odpoczynek przeciąga się aż do nocy, a nawet następnego poranku, szczególnie wóczas, kiedy słońce nie zakryte żadnym obłoczkiem, pali ziemię i niszczy w ludziach wszelką siłę i energiją. Każdy namiot ma swojego naczelnika; bywa nim zwykle najstarszy lub najdoświadczeńszy z wędrowców. Kiedy nadejdzie chwila rozdzielania wody, spragnieni siadają w około, na matach rozestłanych na ziemi, gdyż piasek bywa do niewytrzymania gorący, i wóczas stawiają pośrodku naczynie z wodą; w górnej jego części odśrubowują kran metalowy i przewracają samo naczynie na bok i woda zgrzana wylewa się w podstawione połówki rozłupanych kokosów. Naczelnik lub przywódca pije ostatni, w ciągu zaś podziału tego ożywiającego napoju, stara się zachować sprawiedliwość, którą nie raz posuwa aż do śmieszności. Naprzykład: jeżeli w nieprze-

branéj mądrości swojej osądzi, że która z tych improwizowanych filizanek zawiera kilka kropel napoju więcej niżby należało, natychmiast dotknięciem laseczki wstrzymuje pijącego, który srodze byłby ukarany, gdyby nie usłuchał tego rozkazu, wynikłego z natchnienia religijnej sprawiedliwości. Lecz pałace pragnienie częstokroć silniejszym bywa od rozkazu i nie rzadko się zdarza, że spragniony połyka wszystką wodę, chociaż wie, że za takie nieposłuszeństwo pozbawiony będzie następnej porcyi, któraby nań nazajutrz przypadła.

Podział żywności nie tak bywa skrupulatny; naczelnik nie kontroluje apetytu podwładnych i ogromne porcyje mięsa wielbłądziego, końskiego, wołowego i baraniny ugotowane i osolone, podają każdemu na liściach bananów, zastępujących razem stół i obrus.

Rozdzielano przytém pomiędzy podróżnych wódkę codziennie z rana, nigdy zaś

wieczorem. Doświadczenie nauczyło, że użycie wódki po całodziennym npaie, kiedy głowy rozgrzane prostopadłemi promieniami słońca, może spowodować pomieszanie zmysłów u ludzi nieprzyzwyczajonych do niszczących podróży po niezmiernych afrykańskich pustyniach.

Już przeszło ośm dni, jakeśmy opuścili krainę roślinności; przez cały ten czas towarzyszył nam stale wiatr gorący, podobny do wyziewów rozpalonego pieca. Jeden z naszych koni, niosący najkosztowniejszy ładunek, wściekł się nagle i zaczął uciekać rżąc straszliwie; kula powaliła go na ziemię: kiedyśmy przyszli zabrać to czem był obładowany, żył jeszcze, ale życie to było okropne: oczy mu wyszły na wierzch, nozdrza się zaogniły, sierć najeżyła, gryzł zębami piasek, na którym wił się w konwulsyjnych drganiach. W pięć minut później już nie żył; a nazajutrz zapewne

ucztowały przy nim sępy zabłąkane w pu-
styńi.

Lecz w tym dniu straszliwym, w którym
termometr stu stopniowy na słońcu pod-
niósł się do siedmdziesięciu stopni, a w cie-
niu do trzydziestu siedmiu, byliśmy świad-
kami drugiego, daleko okropniejszego wy-
padku... Nieba przygotowały nam jedną
z tych straszliwych scen żałoby i rozpaczy,
których wspomnienie zawsze obecne w pa-
mięci, ściga zwykle tego, który ją widział,
w czasie bezsennych nocy.

Tylko cośmy ukończyli nasz drugi obiad
czy śniadanie, gdy w sąsiednim namiocie
wszczął się hałas i krzyk wielu zmięsza-
nych głosów..... Przybiegam: Arabowie
i czarni stali zewnątrz namiotu ; wewnątrz
zaś kobieta jeszcze nie stara, jej mąż i kil-
ku niewolników starali się utrzymać zale-
dwo piętnastoletnią dziewczynę, łamiącą,
szarpiącą, gryzącą wszystko, co mogła do-
sięgnąć ręką lub zębami. Na ojca i matkę

swoję rzucała się jeszcze z większą wściekłością, niż na innych. Kiedy nie mogła ich dosięgnąć rękami, pluła im w twarz obrzydliwą, zieloną sliną; a przez nieludzkie wysilenie uwolniwszy rękę, szarpała łono matki, które ją karmiło, tłukła głowę ojca starającego się uspokoić ją pieścotami. przytrzymana znowu waryjatka ta, miotała złorzeczenia i obelgi na tych którzy ją trzymali. Po chwili, zmęczona i odrętwiała, udaje spokojność; polegając na tém pozor-ném uspokojeniu puszczamy ją nieco: razem szalona wydaje krzyk przeraźliwy, śmieje się serdecznym śmiechem, skacze, rzuca się w prawo i w lewo, kręci się na jednem miejscu i ucieka z szybkością sarny gonionej.

Wszyscy staramy się ją dognać; matka z rozpaczy wyprzedza nas wszystkich, wo-lamy, błagamy nieszczęśliwą dziewczynę aby się wstrzymała; nadaremnie, proźb naszych nie słucha, dognać jej nie możemy,

siły nas opuszczają; wówczas własna jej matka porywa karabin od najbliższego Araba, wymierza, strzela... i dziewczica upada kulą przeszyta.

Przybiegamy... nieszczęśliwe dziecko kona ze śmiechem szalonym; usta jej zapienione, oczy krwią zabiegłe ciskają płomień, ręce wyprężone, usta zsiniałe, rzuca się i drży konwulsyjnie: ostatnie jej spojrzenie, to błyskawica, ostatni głos to warczenie grobowe.

Własna matka tylko skróciła jej konanie.

Już od czterdziestu ośmiu godzin powietrze gęste, ciężkie, duszne, tamowało nam oddech i działało zgubnie na płuca. rozmaite oddziały karawany, ażeby się nie rozpierzchnąć i nie zabłąkać w pustyni, zmuszone były komunikować się z sobą za pomocą sygnałów; a ponieważ arabowie wędrowni, polegają więcej na swoim doświadczeniu, które bardzo często ich zawodzi, ponieważ przez wzgardę rozbili

jedynę bussole, w którą się zaopatrzyłem w Senegalu przed udaniem się w podróż; stąd wynikło, żeśmy stracili drogę i zbłądzili zupełnie. Przewodnicy i nawet wielbłądy, na których instynkt częstokroć więcej liczyć można w podobnych wypadkach niż na rozum ludzki, nie wiedzieli w którą udać się stronę. Wpółnoc ciemnej otaczającej nas nocy, zwołano radę. Zdania znakomitszych naczelników były podzielone; jedni radzili udać się w prawo, drudzy w lewo, niektórzy nawet utrzymywali, że wracać nazad, znaczyło postępować naprzód; skutkiem zaś tych wszystkich narad było przekonanie niestety arcy smutne, żeśmy się zatracili zupełnie w tych wiekuistych pustyniach.

Według zdania rozsądniejszych, wypadało nam oczekiwać wschodu słońca, albo ukazania się gwiazd, a co jeszcze pewniej, potrzeba wyglodzić dobrze wielbłądy i później puściwszy one samopas, udać się

w stronę, którą im wskaże ich instynkt zwierzęcy. Ta rada zawierała w tém niedogodność, że skazywała nas na długie oczekiwanie, podczas którego zapasy wody byłyby wypróżnione: postanowiono więc większością udać się w dalszą podróż na ryzyko.

Nie podobało mi się bardzo takie rozpaczliwe postanowienie, i gdy niektórzy opierali się mu jeszcze dowodami, ja tymczasem wyszukawszy w torbie podróżnej kawałek magnesu, namagnetyzowałem nim długą igłę, którą umieściwszy na papierze, wpuściłem ten cały przyrząd do łupiny kokosowego orzecha, nalanej do połowy wodą. Jeden koniec igły zawsze się zwracał ku północy; oświadczyłem więc, że w tę właśnie stronę powinniśmy skierować nasz pochód.

Wszystko co przechodzi pojęcie ludzi pospolitych, uważanem przez nich bywa za bajeczne. Niektóre narody sądzą, że

wiedza jest darem złych duchów i że przez to samo potrzeba ją ile możności tłumić. Im jaśniejsze przedstawiałem dowody mojego twierdzenia, tym zawziętszy znajdowałem opór... O! Galileuszu, jakżeś niesłusznie swój wiek obwiniał! Przesady, to własność niezaprzeczona wszystkich epok, wszystkich sfer, wszystkich krajów; posiadają one prawo obywatelstwa w każdej prowincyi, w każdym mieście. Przesady, to największa z klęsk trapiących ludzkość. Podlegają im zarówno pustynie, jak i stolice najbardziej ucywilizowanych krajów, w których nauki i przemysł założyły swoje panowanie.

Staralem się ile możności usprawiedliwić konduite mojej magnesowej igły, co mówiąc między nami, było niepodobnym, ponieważ to tak jest, dla tego że jest tak, a nie inaczej, lecz jeden z pojętniejszych, a co więcej z silniejszych przywódców karawany, zerwał się nagle z posłania, na

którem leżąc słuchał moich dowodów, porskoczył ku mnie, pochwycił cały mój przyrząd magnesowy i świętokradzką ręką cisnął go daleko. Na taki wyraźny argument, nie było co odpowiadać, nauka nie miała słuszności, magnes przekonany został o szarlataneryją i karawana rozlokowała się oczekując nowego, stanowczego postanowienia.

W tym czasie którego niewielki zapas wody musiałby się kupić lub zapłacić wózom gorzej smolek, i chociażby droższe i ka opierać się postanowieniu Mahara i jego stronników.

Mimowolnie wrzuciłem iskry do prochu. Złowieszczy óltryk, zmany dobrze podro-

V.

znym karawanom, o tym się słysząc wzdus- całej linii przeczonoj następowani moży- ceni stąd wynikać. Łachyła się kizstan-

T u ł ó w

na, bicanna po całym naszym obozie, jedni druzich zapytawali, naradzali się

Jednakże dziki postęp Mahara, tak nazywał się ów Arab, nie wszystkim się podobał; niektórzy dali się słyszeć z naganą i groźbą, wielu innych poszło za ich przykładem; z zapalem przypominali sobie doświadczenia z igłą magnesową, których przed chwilą byli świadkami; przytęm nie podobała się im nieczynność, na którą chcieli się skazać, postanowili więc jakim bądź sposobem skrócić to próżne oczeki-

wanie, w czasie którego niewielki zapas wody musiałby się zużyć lub zepsuć wśród gorącej atmosfery, i chociażby zbrojną ręką oprzeć się postanowieniu Mahara i jego stronników.

Mimowolnie wrzuciłem iskrę do prochu. Złowieszczy okrzyk, znany dobrze podróżnym karawanom, dał się słyszeć wzdłuż całej linii, przerażonej następstwami mogącymi stąd wyniknąć. Zaczęła się krzątania, bieganina po całym naszym obozie; jedni drugich zapytywali, naradzali się i rozchodzili nic nie uradziwszy ani się dowiedziawszy; dopiero po trzech godzinach takiej niepewności, kiedy ciemność nocy dodała okropności jeszcze więcej do naszej i tak smutnej pozycji, dwie przeciwne partyje rozdzieliły się i stanęły naprzeciw siebie.

Wystrzał się rozległ; posłyszano huk nie widząc blasku, lecz gdy sygnał ataku został dany, potrzeba było rozpocząć bitwę.

Walka na bliską metę była prawie niepodobną: w ciemności nocnej, w zamieszaniu swój byłby uderzał na swego, przyjaciel walczyłby z przyjacielem, brat zabijał brata; krewby płynęła, a nie można byłoby nawet wiedzieć na którą stronę przechyla się zwycięstwo. Tym więc sposobem, cienie nocne, które jak się zdawało, powinny były nas zgubić, stały się tą razą zbawczymi. Walczono z daleka, strzelano z pewnej odległości i chociaż wystrzały były bardzo częste, mało wszelakoż czyniły szkody. Z obu stron walczący leżeli na ziemi, kule więc przelatywały nad ich głowami, albo się ryły w piasku ze szczególnem świstem. Była to walka z zamkniętymi oczami, walka głupia, szalona, wściekła; obie strony, jakkolwiek dzikie i rozzłoszczone; żałowały jednak że ją zaczęły i szczerze pragnęły zakończyć. Lecz jeżeli strzelanie i groźne okrzyki z niem połączone były straszne,

cisza która po nich nastąpiła, była stokroć straszniejszą.

Każdy się lękał, aby przeciwnej stronie nie przyszła myśl zakończyć boju lancą, szablą lub bagnietem; dla tego każdy starał się wzrokiem przejrzeć w ciemności, przysłuchiwał się najłżejszemu szmerowi, i ta bojaźń, to oczekiwanie, ta niepewność, miały w sobie coś bardziej uroczystego i strasznego, niż świst kul w pośród tego chaosu i zamieszania.

Nareszcie noc, która się nam wydała wiekiem, zaczęła niknąć powoli; światełko, z razu mdłe, zabłysło na wschodzie: był to dla nas znak wybawienia. Cienie nocne stają się coraz przejrzystsze, ustępują, wiją się we wstęgi, krzyżują, rozchodzą, znikają; mało po mału przedmioty stają się wyraźniejszemi; przed chwilą wydawały się nam jak widziadła, teraz widzimy je we właściwej postaci. Ludzie już oglądają je-

dni drugich, dotykają, poznawają, ściskają się i dziękują prorokowi za wybawienie.

Ze świtem dziennem weszła i ufność do serc naszych; z ufnością przyjaźń i wielkie właściwe ludziom szlachetne uczucia, tak potrzebne i konieczne w czasie długich i trudnych wędrówek po pustyniach.

Wyszukano rannych, których dzięki Bogu, było nie wielu; starano się otoczyć ich najtroskliwszemi staraniami, pocieszyć; każdy się zdawał żałować zła, które uczynił bliźniemu.

Im groźniejszą i boleśniejszą była walka, tem bardziej czuć się dawała potrzeba pokoju i jedności. Ci z pomiędzy naczelników, którzy wywołali nocną bitwę, starali się teraz najusilniej zatrzeć jej ślady. Maharah nadewszystko obwiniał sam swoją gwałtowność, prosił aby nań wymierzono karę, któraby nauczyła go być na przyszłość uważniejszym i rozsądniejszym. Wychwalał głośno moją naukę, powiedział że odtąd

co do drogi którą mieliśmy się udać, mnie tylko wszyscy radzić się i słuchać powinni, o wschodzie zaś słońca ukazał i dowiódł wszystkim, że moja igła magnesowa miała słusność.

Ogólna modlitwa została nakazaną; mężczyźni i kobiety poklękali, zwracając się twarzą na wschód i wzniesli pieśń dziękczynną, jak gdyby już wszystkie cierpienia nasze się zakończyły.

Niestety, wyroki Opatrzności nie zbadał dane! Chwila w której sądzimy, że ręka Boska ma nas bronić od wszelkiej przygody, bywa zwykle chwilą, w której najbardziej się powinniśmy lękać, ażeby nie zamieniła się w karzącą nas prawicę.

Kiedy podano jedzenie, rzuciliśmy się na nie z tem większą żarłocznością, im niebezpieczniejsze były chwile ubiegłe. Wzruszenia umysłu i serca bardziej zaostrzają apetyt, niżeli praca fizyczna, i solone mięsiwa podane na matach znikają raptownie,

w obec zgłodniałych biesiadników. Potem następowało rozdzielanie wody; w tej chwili doznaliśmy jakiegoś niepojętego przestrawu. Zaledwo pierwsze krople wpłynęły do podstawionego naczynia, smród nadzwyczajny rozległ się po całym namiocie, i Arab, który mając pić pierwszy zbliżył do ust naczynie, dostał w tymże momencie okropnej czkawki i upadł na wznak na pół uduszony. Za drugą próbą, woda uczyniła tenże sam skutek i musieliśmy naczynie to wyrzucić daleko od namiotu, aby nas nie zarażało smrodem. Myśleliśmy z początku, że trup jakiego małego zwierzątka wpadł do naszego skórzanego rezerwoaru i ginąc w nim zatruł wodę; chcieliśmy przekonać się o tem, nie narażając siebie na zapowietrzenie, wystrzałem strzaskano naczynie, płyn się wylał, a piasek pustyni, tyleż co i my spragniony, wypił ją natychmiast.

Nie znaleźliśmy w naczyniu żadnego obcego ciała. Kiedyśmy wyszukiwali przyczyny naszego nieszczęścia, postrześliśmy że i w innych namiotach panowały przestrasch i przerażenie. Domyśliliśmy się powodu: cały nasz zapas wody zepsuty! Zgubiony bez nadziei. Nie zwolywano rady, nie mówiono nawet o tém; patrzaliśmy tylko na siebie wzrokiem obląkanym, wyrażającym rozpacz, jedni drugim konwulsyjnie ściskali ręce, wszyscy zwracali co chwila wzrok na ogromną tarczę słońca, które gdzie indziej będąc przyczyną życia, tu miało się stać narzędziem naszej katuszy i śmierci. Spoglądaliśmy ku niebu, jakby stamtąd spodziewając się cudownej pomocy, lecz próżne nadzieje! ręce opadały, a ciała niszczone pragnieniem, na rozpalonym piasku szukały ochłody. Ci nawet którzy nie doznawali jeszcze okropnych skutków pragnienia, złorzeczyli niebiosom za to okrucieństwo bez miary.

Nigdy zaraza, w pierwszym dniu pojawienia się wśród obszernego miasta, nie wywołała takiego przerażenia i rozpacz; nigdy głód wśród liczego grodu, nie wywołał tylu jęków, tylu narzekań. Śmierć unosiła się nad nami jako najwyższa władczyni, której nic zmiękczyć, nic ubłagać nie mogło. Pustynia nie odmienia nigdy fatalnych wyroków swoich, jeżeli takowe raz wydała; drwi ona z prośb, modłów, łez, konania!

Tak, bez wątpienia, pragnienie zawsze jest męczarnią, straszliwą karą niebios, nawet wówczas, gdy widzimy w dali źródło, do którego, po wielu trudach, mamy nadzieję dojść nareszcie i ugasić w niem pozerający ogień; lecz pragnienie w pustyni, wśród Sahary, pod palącemi promieniami ogniska świata; umierać z pragnienia obok istoty, która także jak i ty z pragnienia umiera, upada na piasek, kąsa go, gryzie, woła wiatru, wody, a znajduje tylko ogień,

wszędzie ogień! Doznawać pragnienia wówczas, kiedy się wie, że następujące po sobie godziny nie tylko go nie zmniejszą, lecz owszem powiększą i do cierpień dotychczasowych dodadzą nowych, jeszcze okropniejszych! Takie pragnienie jest to stos zażegniony, który pali i dusi, jest to piekło które wrze, płonie, dotyka ze wszech stron ognistymi językami, jest klatka z rozpalonego żelaza, w którą wsadzono żywą istotę. O, wy nie znacie co to jest pragnienie; wy, którzyście nie zwiedzali nigdy tej dzikiej, tej śmiertelnej Afryki, której wnętrze na zawsze może zostanie tajemnicą.... O! nie zwiedzajcie jój nigdy, bobyście przeklęli swoją matkę, złorzeczyli swojemu Stwórcy.

Pragnienie, jest to najstraszliwsza z plag, jaką Przedwieczny zsyła na ziemię.

Dzień cały przeszedł w uroczystej ciszy. Wieczorem mężczyźni i kobiety błakali się jak cienie; zwierzęta pospuszczały głowy

i starały się odetchnąć świeżem powietrzem, nie mogąc otrzymać kropelki wody... cały ten cyrk bez granic, wśród którego walczyliśmy ze śmiercią, stał się ogromnym szpitalem. a żaden pacjent nie miał z niego wyjść uzdrowiony, jeśli wszytkomogący nie ulituje się nad tyłą nędzy i cierpień. Ani huragan, ani piorun nie mógł wypaść ze straszliwie czystego błękitnego nieba, żaden obłoczek na nieboskłonie lub w zenicie nie obiecywał nam dżdżu... Przejrzystość nieba i powietrza zwiększały jeszcze naszą niedolę, błagaliśmy Stwórcę o burzę, chaos, śmiertelny simun, zwodniczy miraż, o ryk lwa, o paszczę tygrysa, dla skrócenia naszych cierpień...

Nic, zawsze nic.

Jak walczyć przeciwko temu, czego nie widzimy? Jak zwyciężyć to, co nie przedstawia oporu! Najokropniejsza śmierć jest ta, która nas zabiera bez walki, a my byli-

śmy zwyciężeni samą nieobecnością wszelkiego nieprzyjaciela.

Nie będę wam opisywał okropnych scen które splamiły noc następną... kilka trupów, których żyły były otwarte pogrzebano nazajutrz: widziano, a nikt im tego nie zgañił, ani przeszkodził! Arabów i czarnych, równych tą razą, zabijających wielbłądy i szukających w rezerwoarze, który Bóg dał tym okrętom pustyni, trochy wody, którą co chwila później osłabiony ich żołądek napowrót odrzucał.

Jedna kropla zdrowej wody uzbroiłaby całą karawanę, a strumienie krwi popłynęłyby dla jej zdobycia. Cześć bożką oddanoby temu, ktoby nam sprowadził najstraszliwszą z nawałnic, jakąśmy ledwie przebyli, a za powrót której wszystkobyśmy oddali.

Jednakże, jeżeli nie rozum, bo ten postradał był wszelką nad nami władzę, to instynkt doradził nam udać się w dalszą

podróż; powstaliśmy, jakbyśmy mieli iść na śmierć i udaliśmy się na północ; poszlibyśmy w przeciwną stronę, gdyby wielbłąd poprzedzający orszak skierował się ku południu.

Nie śmieliśmy zaspokajać trapiącego nas głodu, aby nie powiększyć przez to pragnienia. Kilku biedaków nie mogących zdążyć za nami, zostawiliśmy na pewną zgubę, nie udzielając im żadnej pomocy.

Nocy następnej firmament pokrył się siatką lekkich i przejrzystych obłoczków białawego koloru; leciuchna rosa dozwoliła nam odetchnąć swobodniej, odświeżając nieco ziemię.

Trzeba było nas widzieć, jakieśmy upadłszy twarzą ku ziemi, spalonym językiem lizali piasek zaledwo zwilgocony... Obłoki zdawały się zgęszczać. Z nadzieją i strachem spoglądaliśmy na te masy przesuwające się nad naszymi głowami, a które zapowiadały nam burzę. Lecz rychło słon-

ce weszło, mgła się rozproszyła, z nią razem znikła wszelka nadzieja i odwaga, a spokojność i pogoda zapowiadały nam wybiecie ostatniej godziny naszego żywota. Znużeni nieużyteczną walką, zebraliśmy się w jedno miejsce i zwróceni ku wrogowi naszemu słońcu, oczekiwaliśmy wśród rozpaczliwej ciszy chwili skonania, gdy wielbłąd będący na przodzie karawany wydał rodzaj beczenia, które zwróciło uwagę wszystkich arabów. Zerwali się z miejsc, jak gdyby od wstrząśnienia elektrycznego i nie porozumiawszy się nawet, jak to u nich jest w zwyczaju, poszli prosto do zwierzęcia.

Jeden z nich ujął go za munsztuk i zwrócił w inną stronę... wielbłąd miotał się póty aż stanął w poprzedniej pozycji.

Powtórzono kilkakrotnie ten manewr; opór zwierzęcia rozjaśnił oblicza Arabom: dano znak pochodu i udaliśmy się w stronę wskazaną instynktem dromadera.

W ciągu dwóch następnych dni nic nowego nie zaszło, lecz dnia trzeciego o zachodzie słońca dał się słyszeć okrzyk radości, powtórzony przez wszystkie oddziały karawany; wytłómaczyłem go sobie wówczas dopiero, gdy ujrzałem wszystkie wielbłądy udające się w stronę wschodnią, prawie mimo woli przewodników. Przechyli oazę. Zdaliśmy się zupełnie na ich cudowny instynkt, a w dwie godziny później dostrzegliśmy wierzchołki drzew, pod cieniem których, wśród bujnej vegetacji odetchnęliśmy rychło swobodniej i ożywili opuszczające już nas siły.

Chcecież wiedzieć co to jest oaza wśród pustyni Sahary? Jest to ziemia świeża i zielona, skrapiana i zasilana kryształowem źródłem, usiana drzewami palmowemi pokrytemi mnóstwem owoców: ich rozpuszczone gałęzie naksztalt warkoczy, ich liście poruszane lekkim powiewem wietrzyka, tworzą przykrycie, przez które na-

wet ogniste promienie afrykańskiego słońca przedrzeć się nie zdołają. Oaza wśród pustyni jest to pociecha, radość, szczęście, błogosławieństwo, uśmiech pana Boga po wybuchu jego gniewu.

Od poczęliśmy tam dni ze trzy; pokrzepiliśmy wprawdzie nasze siły, lecz trzeba było nareszcie udać się w dalszą podróż: droga miała być jeszcze długa, a oazis ma także swoje chwile żałoby i rozpacz. Nie mogliśmy nabrać z sobą wielkich zapasów gdyż utraciliśmy już byli wiele koni i wielbłądów.

Weszliśmy w cichą i głęboką dolinę, prawdziwy komin rozpalony; była to pierwsza okropna próba, na którąśmy zostali wystawieni po wyjściu z oazy. Odbicie promieni słonecznych było zabójcze; pot obfity wystąpił na całym spieczonym ciele, a wysokie moje szczudła były tu dla mnie więcej przeszkodą niż pomocą.

Zginęło tu trzech ludzi i kilka koni; nie zadawaliśmy sobie nawet pracy aby ich pogrzebać. Gdyby ta otchłań, wśród której miotaliśmy się jak potępięncy, cokolwiek była dłuższą, niechybnie cała karawana znalazłaby w niej grób swój.

Wiem, że tym którzy przywykli stąpać po twardej ziemi, albo po drogach bitych, podróż ta wyda się zbyt powolną, lecz niech wspomną na to, że po piasku iść prędko niepodobna, powierzchnia jego ugina się i rozstępuje pod nogą. Opór tylko powiększa siłę, a ręce i nogi słabiej prędko poruszając się wśród próżni.

Tu byłem świadkiem jeszcze jednego okropnego widowiska, jednej z tych scen straszliwych, lecz niestety zbawiennych i koniecznie potrzebnych do zabezpieczenia bytu podobnie awanturniczych karawan. Byłem świadkiem okropnej ofiary, poświęconej ogólnemu dobru i bezpieczeństwu. Podobne wspomnienia pośpieszamy zwy-

kle rzucić na papier, aby je wyrwać z niepamięci.

Noc objęła już była chwilowe panowanie nad nami, noc jasna, gdyż księżyc w pełni obsypał nas opalowymi promieniami swymi. Nagle rozległ się okrzyk zgrozy, wydany przez jednego z pilnujących naszych zapasów. Ozwały się trąby, cała karawana została wstrzymana, wszyscy pragniemy dowiedzieć się powodu zamieszania... Jedno z naczyń z wodą zostało przedziurawione umyślnie: Arab zwyciężony pragnieniem popełnił tę zbrodnię; chciał orugaścić płomień który go wewnątrz palił przebił więc za pomocą świdra jedno z naczyń powierzonych jego dozorowi i widziano go połykającego chciwie ciepłą wodę. Nieszczęśliwy miał być rychło sądzony i ukarany... Cóż to za okropna kara go czekała!

Zna on ją dobrze, poddaje się jej, klęka lecz nie błaga o przebaczenie, ponieważ:

wie, że żadna łaska udzieloną mu być nie może. Wiedział on o tem i przed popełnieniem występku, a jednak go popełnił. Oh, bo pragnienie złym jest doradcą, a człowiek dręczony pragnieniem, wypije krew swojego najlepszego przyjaciela, otworzy żyły jednemu dziecku swojemu, byle się napić.

Arab w milczeniu oczekiwał kary.

Nie radzono, nie rozprawiano o tem jaką ma być ta kara. Czterech Arabów wystąpiło i zaczęło kopać ziemię. Kiedy robota była skończona, dół wykopany, jeden z nich spuścił się w głąb, zmierzył go i znów wyłazł na wierzch.

Potem na skinienie naczelnika, kopacze pochwycili nieszczęśliwego przestępcę, skrupowali mu ręce i nogi wstawili do dołu, i gdy dwaj z nich przytrzymywali go aby stał, dwaj drudzy zasypywali tę okropną mogiłę.

W przeciągu pół godziny wszystko było skończone; ziemia otoczyła winowajcę, tylko głowa i ramiona jego wystawały nad jej powierzchnią.

Po skończeniu tego strasznego pogrzebu, karawana uszykowała się i przeszła mimo winowajcy krokiem powolnym, miotając nań przekleństwa. Każdy mężczyzna, każda kobieta, każde dziecko potrzasało piasek, wśród którego nieszczęśliwy Arab milczący, ponury, nieruchomy był uwięziony; najzapalczywsi zaś, chcąc mówić najpobieżniejsi plwali mu w twarz, dodając jeszcze do tej zniewagi najokropniejsze złorzeczenia.

Kiedy smutny ten orszak zwrócił się nazad, naczelnik karawany kazał sobie podać lupinę kokosowego orzecha, nalaną wodą zmieszaną z pewną ilością rumu i postawiwszy ten napój przed oczami przestępcy, położył rękę na jego odkrytej głowie i wyrzekł doń te strasliwe słowa:

„Skradłeś nikczemny człowieku wodę twoich braci, umrzesz więc z pragnienia.

„Pogwałciłeś święte prawa pustyni, umrzesz na pustyni, której majestatu szanować nie umiałeś.

„Niech tygrys, któregoś żarłoczność i chytrość naśladował, odwiedzi cię po naszym odejściu. Niech on odwilży swój krwawy język w napoju, który stawiam przed tobą i niech nacieszy się twojem długiem konaniem, pożre powoli głowę twoją.

„Niech, w braku tygrysa i lwa, zwierząt których nie jesteś godzien, przyjdzie do ciebie podła hyjena; niech żądę krwi, która ją ciągle pali, zaspokoi w krwi twojej i zada ostatni cios twojemu życiu.

„Nie uszanowałeś świętych praw naszego boskiego proroka, prorok opuścił cię więc i przeklął.

„Opuszczamy cię także, wyrzekamy się i zapieramy cię bezbożny złoczyńco;

cierp', pokutuj za straszliwą zbrodnię, którąś się zmaszał, żałuj jej w obec kary którą ponosisz, i niech Mahomet zmiłuje się nad twoją podłą duszą."

Po wyrzeczeniu tego przekleństwa, spojrzeliśmy wszyscy na męczennika po raz ostatni i poszliśmy w swoją drogę.

Nie błagałem ludzi za opuszczonem, bo to byłoby nadaremnie, lecz błagałem Boga. Odwracałem się kilkakrotnie, ażeby ujrzeć raz jeszcze nieszczęśliwego; modliłem się do Boga, prosząc o najrychlejszą śmierć dla tego człowieka i nareszcie widziadło to skryło się w oddali.

Wiele lat przemknęło od czasu tej okropnej sceny; oczy moje zamarłe, od dawna już nie oglądają światła dziennego; inne wzruszenia, inne nieszczęścia powiększyły ilość zmarszczek na mojem czole; a jednak zawsze, zawsze tak jak dawniej, widzę tam przed zagasłemi na wieki oczami memi,

ten tułów wystający nad ziemią, żyjący wśród obumarłej przyrody, tę karę potępieńca, to piekło wymyślone przez ludzi dla człowieka. Pamięć bywa niekiedy okropnym darem niebios!

VI.

Huragan.

Nazajutrz kilku ptaków tak jak i my za-
 błakanych w pustyni, unosiło się nad kara-
 waną; niektóre z nich upadały bez sił przy
 naszych nogach: zmęczone skrzydła nie mo-
 gły ich unieść w bezpieczne schronienie,
 które nierozważnie opuściły; wołały więc
 wpaść w ręce nasze, aniżeli borukać się
 napróżno z przestrzenia, której ogrom je
 przerażał, i z gorącym niszczącym siły i ener-
 giją. Ibis wyliniały, jaskółka i sęp wpadały

tym sposobem w nasze ręce, uczyniliśmy im łaskę zabijając je od razu; każde zaufanie na względ zasługuje.

Według obrachowania jednego z doświadczniejszych naczelników karawany, powinniśmy byli nazajutrz dosięgnąć pasa kamiennego, który do koła prawie otacza wielką pustynię; lecz Wszechmocna ręka Boska nie tak zwykle rozrządza losami ludzi, jakby oni sobie tego życzyli, i chwile radości i nadziei naszych zwykle graniczą z chwilami rozpacz.

Arab się pomylił; inni naczelnicy współubiegający się z nim o zaszczyt dowodzenia naszą wyprawą, skazali go za karę aby szedł piechotą za karawaną i z zawiązanymi oczyma. Drugi Arab, zuchwały i samochwał, stanął jako dowódca na czele kolumny i chcąc dowieść stanowczo nieświadości pierwszego, rozkazał zwrócić pochód na prawo: wielbłądy napróżno opierały się tej zmianie kierunku... W ośm go-

dzin później spotkał go tenże sam los co i jego poprzednika i obaj zmuszeni byli uznać swoją nieświadomość.

Następna noc była burzliwa, niebo zachmurzone, błyskawice częste, wicher i deszcz przenikliwe. Arabowie, czarni, konie i wielbłądy, wszyscyśmy nie wiedzieli gdzie się ukryć od prześladujących nas żywiołów. Najdoświadczęsi radzili postępować z kierunkiem burzy, która wychodząc zwykle z środka pustyni, musiałaby nas doprowadzić do jej krańców. Zabroniono rozpiąć namioty, z obawy aby ich wicher nie uniósł, i oto zostaliśmy pod gołym niebem, bez celu, bez porządku, bez bussoli, bez gwiazd, błakając się w przestrzeni bez granic i szukając napróżno punktu oporu na piasku zmoczonym, w którym brnęliśmy po kolana.

Postępowaliśmy jednak dopóki siły nam wystarczały; musieliśmy nareszcie, strudzeni do najwyższego stopnia, pokłaść się na

piasku i zdać się na wolę rozhukanych bałwanów.

O świcie ujrzeliśmy z najwyższém podziwieniem sterczącą niedaleko od nas głowę zakopanego wczoraj Araba, a deszcze i burze prześladujące nas przez dzień cały, nie tknęły miejsca w którym konał ten nieszczęśliwy. Przedwieczny nie wysłuchał modłów, a może i złorzeczeń potępieńca; deszcz i rosa okazały się dlań również okrutnemi jak i ludzie; nie chciały zwilżyć głowy i rozpalonych ust męczennika, a zwierzęta skrócić jego żywota.

Ośmieliłem się przemówić do naczelnika, który okazywał mi niejaką przychylność, kilka słów błagalnych za nieszczęśliwym; odskoczył odemnie przestraszony moją zuchwałością i lękając się pewno podobnego losu dla nas obu, położył rękę na moich ustach, nakazując mi tym sposobem najzupełniejsze milczenie; spojrział jeszcze bada-

wczo do koła, jakby chcąc się zapewnić, ażali kto próśby mojej nie podsłuchał.

Nieszczęśliwa ofiara konieczności! Chyba sam Pan Bóg mógł cię uratować od śmierci i straszniejszej jeszcze niż śmierć męczarni; lecz słowo zbawienia nie dało się tobie słyszeć, Bóg cię opuścił i w kilka godzin później byłeś znowu sam jeden wśród tej pustyni bez granic, pod tém straszliwem niebem.

Obłoki uciekły z firmamentu, błyskawice gdzieś się skryły, wiatr zniknął, lecz wschodzące słońce wskazało nam stronę w którą powinniśmy się udać i postępowaliśmy z początku dość szybko. Razem wielbłądy idące na przodzie wstrzymały się... nadchodzim wszyscy i widzimy szczątki obozu, nad którym śmierć rozciągnęła samowładztwo.

Kości wielbłądów i ludzi wały się tam i owdzie. Któż je tak porozrzucił? Simun, czy może lew albo tygrys?... Nie, to zapewne głód i pragnienie były przyczyną zgu-

by tych nieszczęśliwych. Mimowolnie zwróciłem się, ażali nie dosłyszę lub nie dojrzę nieszczęśliwego Araba, który miał umrzeć takąż śmiercią, najokropniejszą ze wszystkich.

Patrzę—i niczego dojrzyć nie mogę, słucham—żadnego szmeru! O! to także męczarnia w swoim rodzaju... Wolałbym tysiąc razy słyszeć ryk dzikich zwierząt lub świst boa... rozpacz skazanego byłaby mniej okropną, konanie nie tak powolne.

Są na świecie ludzie tak nieszczęśliwi, że żadnych przeciwności w życiu nie doznali. Proszę was o litość nad temi ludźmi, tak fatalnie uprzywilejowanemi; wszystko im się wydaje ckiwém i monotonném. Woda bywa w ich oczach mniej przejrzystą, kwiaty mniej wonnemi, firmament mniej wspaniałym, miłość mniej uroczą. Czemże jest rozkosz dla tego co nie doznał cierpienia? Czemże jest szczęście dla tego co lez

gorzkich nie wylewał? — Jest to spoczynek bez snu, pocałunek bez słodyczy, zima bez śniegu.

Co do mnie, nie mam prawa robić w tym względzie wyrzutów niebu lub piekła: całe życie moje było pełne wrażeń, nieszczęść, przygód, doświadczeń... Kiedy pomyślę o miejscu z którego rozpoczął moją pielgrzymkę po świecie, kiedy pomyślę o kresie do którego doszedł, czynię zawsze wniosek, że jest doskonała logiczność w wyrokach przedwiecznych. Myliłby się każdy ktoby pomyślał, że dla mnie w ciągu całego życia upłynął choć jeden dzień bez chmury na niebie, bez przygody na ziemi, bez rany w sercu; jeśli rozbicie nie uwięńczyło dalekich wędrówek moich pogrążeniem mnie na wieki w głębi morskiej; jeśli huragany oszczędziły mię w czasie wędrówek przez pustynie; jeśli głód, pragnienie, tyfony były stałemi towarzyszami życia mojego, nie mogąc go zniszczyć, to dla tego że w przy-

szłości oczekiwała mię jeszcze cięższa próba, jeszcze większe cierpienie: — ciemna zasłona zakryła na wieki oczy moje, które tyle świata widziały! Nie ujrzę więcej ani błękitu niebios, ani zielonej szaty ziemi, ani oblicza bliźnich. A jednak, te ciągłe walki z ludźmi i żywiołami, te bezustanne przeciwności... to za wiele, to za bardzo wiele dla istoty mającej tylko dwie ręce, jedną pierś i jedno serce.

Lecz Opatrzność czuwa nad nami, i my brniemy dalej i dalej w tym piaszczystym oceanie. Do koła nas cichość grobowa, żadnego szmeru w przestrzeni, żadnego obłoczku w górze, żadnego ptaka na powietrzu, żadnej roślinki na ziemi: pod nami piasek, nad nami słońce. Karawana posuwa się smutna i milcząca. Tu ryk żywiołów albo dzikich zwierząt zwykle bywa przepowiednią jakiej katastrofy, każdy więc nadstawia ucha i ogląda się na wszystkie strony, ażali nie dosłyszcy lub nie dojrzy czegoś

takiego, coby zapowiadało niebezpieczeństwo.

Noc następowała, i ostatnie promienie ognistego słońca opuszczały coraz bardziej zgęszczoną i ciężką atmosferę.

Postępowaliśmy ciągle ku północy: zastanowiliśmy się nareszcie do odpoczynku wieczornego, gdy świst przeraźliwy, podobny do oddechu olbrzymiego miecha kowalskiego, zwrócił nagle naszą uwagę. Wszyscyśmy spojrzeli z niespokojnością ku wschodowi, skąd odgłos przybywał... Niczegośmy nie dojrzeli... Sądziłibyśmy że to boa potwornej wielkości przesyła nam wyzwanie, gdyby jakakolwiek żywa istota mogła żyć pośród tych piasków, bez wody, owadów, rosy i drzew.

Cóżby to było? Skąd ów świst pochodził?

Daleko, bardzo daleko od nas wznosi się jakaś kolumna: podstawa jej dotyka ziemi, wierzchołek kryje się w niedojrzanej okiem wysokości. Kolumna ta przybliżyła się do

nas, rozszerza, kręci około swej osi, nabiera sprężystości, pochyla naprzód niby kłaniając się nam z gracyją; raz jest falista i powiewna nakształt wstęgi, to znowu prosta i twarda niby pal żelazny.

A ciągle postępuje ku nam.

Nie jest to już kolumna, lecz massa olbrzymia, która w miarę zbliżania się wywołuje inne podobneż massy.

Radzibyśmy byli uniknąć tego spotkania, ale już zapóźno, zbyt wielką przestrzeń huragan zajął i zbyt chyżo zbliża się ku nam, musimy więc oczekiwać i przygotować się do starcia. Straszliwy widok rozwija się przed naszymi oczami. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, sto kolumn złożonych z powietrza i piasku, formują dziwaczne i fantastyczne galeryje, ruiny, jaskinie, a to wszystko co chwila zmienia postać, kształt, formę; raz się to wszystko rozchodzi, tuż zaraz ścisła, — nadchodzą inne kolumny tegoż same-

go składu, dopędzają jedne drugich, łączą się z sobą, pochłaniają się wzajemnie.

— Bracie, to simun! — rzekł do mnie Arab, przerażony tym widokiem.

— Czy już go widziałeś kiedy? — zapytałem niemniej strwożony.

— Nigdy.

— Skądże wiesz, że ten wicher i simun jest jedno i toż samo?

— Ponieważ każdy z nich zabija i pochłania.

— A więc to już ostatnia godzina naszego życia?

— Ja tak myślę.

— Dla czegoż tak myślisz?

— Ojciec mi o tem rozповідаł.

— A twój ojciec czy widział podobne huragany?

— Trzy razy w ciągu całego życia.

— A jednak je przeżył; miejmy nadzieję że i my będziemy niemniej szczęśliwi.

Tymczasem huragan zbliżył się już do nas, od jego postępowania drżała i jęczała ziemia, a w jego wnętrzu, przejrzystym jak gaza, widzieliśmy kręcące się i wznoszące do niesłychanej wysokości, z piaskiem razem mnóstwo zwierząt, owadów, ryb, płazów, które huragan porwał w przechodzie.

Ten napad wściekłego nieprzyjaciela na przeciwników nieruchomych i spokojnych, przedstawiał pyszny widok, obraz, którego wielkości i wspaniałości straszliwej nigdy żaden pędzel oddać i wyrazić nie potrafi, ponieważ zawsze brakować będzie ruchu, grzmotu, burkania się wichrów.

Martins, tak cudnie przedstawiający sceny podobnego rodzaju, odrzuciłby precz od siebie paletę, pędzle i farby.

Te myśli zebrałem dopiero wówczas, kiedy huragan już był daleko za nami; w czasie zaś napadu wstrzymałem oddech i zakryłem twarz, tak jak inni to uczynili, ażeby uniknąć zetknięcia się wszelkiego

z temi szczególnemi pociskami, tyleż prawie gwałtownemi co lawiny śniegowe spadające z gór i unoszące ze sobą drzewa, domy i ludzi.

Jednakże żaden z nas nie został uniesiony wichrem, oddziały tak były zbliżone do siebie, żeśmy mogli jedni drugich dotykać stojąc na miejscu.

Jak tylko niebezpieczeństwo przeszło, powstaliśmy wszyscy uradowani, ścigaliśmy dumnym wzrokiem owe wichry szalone, pogardzaliśmy ich groźbami, a jeden tylko Arab powtarzał głosem cichym wiersze z koranu, którym to zapewne przypisywał nasze cudowne ocalenie.

Jednakże nie był to jeszcze koniec fenomenu. Podobnyż wicher nadchodził z strony przeciwnej; oba więc zaryczały gniewne oporem, jaki wzajemnie sobie stawiały, zwiększyły nowem wysileniem swoje siły i pochwyciły się ze sobą; lecz ulegając własnemu ciężarowi, cały ten gmach po-

wietrzny runął gwałtownie na ziemię. Wówczas rozległ się huk jak gdyby od tysiąca bateryj, ziejących ogniem i kartaczami; zdawało się że niebo ze straszliwym łoskotem chce runąć na ziemię, albo że ziemia chce je przyciągnąć do siebie; a piasek który huragan pochwyił i unosił, opadł na ziemię i uformował całe wzgórza. Wszystko było przewrócone i poruszone; gdyby grabarze chcieli tu zakopać miasto skamieniałe, mogliby to uczynić bez najmniejszej trudności. Tam gdzie upadł meteor, wznosiły się teraz dziwacznych kształtów pagórki podłużne, ostrokończaste, zaokrąglone, a twarde i stałe, aż dopóki simun nie rozrzuci ich i nie zrówna.

Kiedy nadejdzie ten dzień fatalny, spodziewam się że i my już daleko stąd będziemy opowiadali naszym przyjaciółom o fenomenach środkowej Afryki, któremi ona broni się od nierozsądnych wędrowców, żądających poznać jej tajemnice.

Korzystając z osłupienia niejako karawany, poszedłem przypatrzeć się skutkom kłęski. Arab, który mi towarzyszył, stał się niezmiernie mównym, gdy postrzegł że już niebezpieczeństwo przeszło. Nakazałem mu milczenie, nie odpowiadając na jego brednie i przybyliśmy do podnóża wzgórz świeżo wzniesionych. Co za dziwny widok nam się przedstawił! ziemia się porusza, piasek podnosi, opada od nieregularnych wstrząśnień. Przypatruję się uważniej temu dziwnemu widowisku, dotykam kolbą mojego karabina w miejscu gdzie te poruszenia zdają się częstsze i gwałtowniejsze, opór daje się uczuć, rozrzucam cokolwiek ziemię i postrzegam monstrualnej wielkości obrzydliwą ropuchę. Nie ma wątpliwości, wiele innych istot żyjących zostało pochwyconych wichrem i tu zagrzebanych. W samej rzeczy do koła postrzegać się dają poszarpane szczątki nietoperzy, jaszczurek, szczu-

rów, węzów, gadzin, ibisów, kretów, a wszystko to zmieszane razem.

Skąd przybywały te wichry straszliwe, gdzie pochwyliły te żywe istoty? Jakie dziwne połączenie i jak musiały być zdziwione zwierzęta i gady, spotykając się razem w tak różnych elementach, w tak rozmaitych temperaturach i strefach!

Chciałem nabrać do jakiego naczynia zwierzątek i owadów, które się tam poruszały bezustannie, lecz w tej chwili dano znak odjazdu i ja z gadatliwym towarzyszem swoim połączyliśmy się co prędzej z karawaną. Zdołałem jednakże nabrać do kapelusza kilka garści piasku, w którym znalazłem tylko szczątki jakiegoś pająka i kilka piór ibisa.

VII.

Chwila uroczna.— Pojedynek.

Nie wiem co mi przygotowuje Opatrzność w bliskiej lub dalekiej przyszłości; to wiem tylko, że w ciągu całego życia mego nie odmawiała mi wrażeń naprzemian miłych lub przykrych, spokojnych lub gwałtownych, i że te wrażenia zapełniały cały bieg życia mego. Dziękuję za to Opatrzności, że nigdy nie byłem samotny ani znudzony.

Szczęście nie podzielane z innymi nie jest szczęściem. Tylko zimny egoista mógłby

uczuc przyjemność mówiąc: „ja sam jeden tylko widziałem te dziwy, sam jeden byłem świadkiem tych fenomenów, sam jeden deptałem tę ziemię martwą lub ożywioną.“

Ponieważ doświadczyłem na sobie samym, o ile boleść w towarzystwie przenoszę nad rozkosz w samotności, dla tego nie raz w pośród burzy jak i pogody, zarówno zawołałem: dla czegoż ja sam jeden tylko oglądam tyle wielkości majestatycznej? Dla czegoż nie mam towarzysza, któryby podzielił ze mną to zachwycenie, dając w zamian połowę swojego?

Tego poranku naprzykład... o! tego poranku nie powinienem opuszczać w moich wspomnieniach; postaram się przedstawić szczytny, magiczny obraz, rozwijający się przed moimi oczami. A jednak Arabowie i czarni, również jak i wielbłądy spią w obec tych fenomenalnych zjawisk przyrody.

Mnie brakuje zmysłów do nacieszenia się zupełnego, mój wzrok i słuch są w upoje-

niu rokosznem; staram się pochwycić ten lekki powiew, zajmujący całą przestrzeń od piaszczystych pokładów ziemi, aż do najwyższych warstw atmosfery: zdaje się że go widzę, ten powiew kapryśny i lehcący, który popieściwszy się gdzieś daleko z kwiatami i drzewami będącemi chlubą ziemi, spieszy popieścić się i z ludźmi, takżę ziemi ozdoba.

Czuję życie płynące w moich żyłach, zapominam się; przyszłości dla mnie nie ma, przeszłość nigdy nie istniała; całe życie jest terażniejszością, a terażniejszość jest tak słodka, tak miła, tak pełna, że na myśl ci nie przyjdzie aby mogła kiedykolwiek przemienić się w przeszłość. Nie jesteś ani mocny, ani słaby, nie należysz prawie do siebie, stajesz się niewolnikiem własnych zmysłów; lecz to niewolnictwo tak cię przyjemnie czaruje i ludzi, że nie zamieniłbyś go na najzupełniejszą swobodę. A ci dzicy którzy mię otaczają, tak rokosznie są wzruszeni,

tak zachwyceni stanem obecnym, że nie mogą zdać sobie sprawy z wrażeń których doznają.

— Przepraszam cię Tzi — rzekłem do Araba, któregom odwracając się potrącił— nie widziałem ciebie; coś ty tu robił za mną?

— To samo co i ty: uwielbiam.

— Co?

— Pustynię.

— Tak, Bóg odpoczywa.

— Tak, Bóg odpoczywa.

— Ta cichość uroczą jest więc odpoczynkiem Pana Boga?

— Uważaj chrześcijanie, wyroki Allaha nieodmienne i mądre: chciał on rzucając świat ten w przestrzeń bez granic, ażeby na naszej połowie była wielka pustynia i żeby w tej pustyni raz do roku, raz jeden tylko, pielgrzym mógł z duszy i serca podziękować mu za jego dobrodziejstwa; ażeby raz jeden do roku mógł być szczęśliwy, nawet wśród tej przeklętej pustyni. Dziękujmy

mu więc za dzisiaj, za tę chwilę, ponieważ jutro...

— A jutro co będzie?

— Nie wiem co będzie, wyroki Allaha niezbadane, lecz jutro!... Ale nie starajmy się odgadywać tajemnic Jego.

Arab zniszczył cały urok; prosiłem go aby pozwolił mi bez przeszkody napawać się temi lubemi wrażeniami: starałem się niektóre z tych wrażeń, co mię według przepowiedni Araba miały tak rychło opuścić, przelać na papier. Oto są:

Słońce wschodzi, a jednak widok jego nie razi niczyjego wzroku, możemy śledzić oczyma kierunek niezmiernej drogi, którą przebiega nad naszemi głowami; zapytujemy jedni drugich, czy nie zmieniła natury swojej ta wiekuista gwiazda? gdzie się podziała jej siła niszcząca w jednem, a ożywcza w drugim miejscu.

Podnosi się, podnosi ciągle.

Forma tej gwiazdy jest też sama co i wprzód, tarcza też samej wielkości, lecz gdzie się podziały jej promienie palące? Jest to kula ognista, jaskrawa i zamglona zarazem; rzekłbyś że dopiero wyjęta z pieca rozpalonego, gdyż domyślasz się że płonie.

Ale któż jej odjął tę własność płomienno-atmosferyczną, której winniśmy tak regularne pory roku i to stałe następstwo dnia po nocy i nocy po dniu? Czyżby Stwórca zmienił swoją myśl przedwieczną i chciał, ażeby gwiazdy nie przyćmione słońcem jaśniały bez przerwy na firmamencie.

Patrzcie jeszcze: Canopus zaledwo trochę przyzglony; gwiazdy średniej wielkości zachowały nawet swój mieniący się połysk; meteory jaśniejące zygzagowym lotem przerzynają powietrze, możemy śledzić ich bieg dziwaczny, a kiedy gasną w powietrzu lub z łoskotem pękają nad powierzchnią ziemi, światło się nie powiększa, zawsze to

ten sam zmrok szarawy, lecz długi i gęsty, jakby w krajach polarnych.

Byłem w zachwyceniu: oczekiwałem jakiego dziwnego wypadku z tego atmosferycznego fenomenu, chociaż sen spokojny towarzyszków moich powinien był mnie zaspokoić.

Lecz dla czego to światło wątpliwe? Dla czego ta ciemność przejrzysta. Dla czego nie ma obłoków ani mgły? Piersć wolna, oddech łatwy, żadnej elektryczności w powietrzu.

Bóg odpoczywa, powiedział Tzi, pocóż się lękać jego gniewu? Patrzcie więc śmiało, starajcie się jak ja wytłómaczyć sobie kształt i barwę tego, co nazywamy niebem. Kolor jego tak jest dziwny i niezwyčajny, że żaden malarz nie potrafiłby go naśladować; nie jest ono ani zamglone, ani mieniące, a jednak niepodobna oznaczyć jego odcienia... Czy słońce jest względem nas ukośnie, czy prostopadle położone, nic nie zmie-

nia ani z bliska ani z daleka tej masy nieruchomej. Ono samo tylko jaśniej nie rażąc, a ziemia która pod niem przebiega nie ulega już jego powstrzymanej gwałtowności.

Clapperton widział ten fenomen; Boutin i Belzoni napróżno go oczekiwali; Tzi tylko potrafił go określić i wytłómaczyć: *Bóg odpoczywa.*

Cóż zrównać się może z ciszą, wśród której unoszą się moje marzenia? Wszystko uśpione do koła; piasek pustyni na ziemi, przejrzysta siatka obłoków na niebie, wielbłądy i Arabcy zmęczone długą podróżą, — wszystko spoczywa; a jednakże jakaś magiczna melodyja porywa duszę i unosi w krainę ekstazy. Ciche, harmonijne dźwięki ze wsząd słyszeć... chcę mówić czuć się dają; czarodziejska orkiestra otacza mię ze wszech stron; czuję ją tu i tam, nad głową i pod nogami; przemawia ona do mnie głosem, którego nigdy dotąd nie słyszał; a wszakże głos ten ma znaczenie, myśl, ciało, duszę

i dusza go rozumie. Gdyby przynajmniej atomy piasku się poruszały, gdyby masy obłoków mniej lub więcej zgęszczone przepływały w atmosferze, gdyby karawany ptaków wędrownych przelatywały w powietrzu, pojąłbym może ten boski koncert ciszy który mię upajał: lecz nie... *Bóg odpoczywa*, powiedział Arab i słońce skrywając się za horyzont, nie zaprzeczyło słów jego, zostawiło nas w tymże stanie, nie czyniąc żadnej przepowiedni na jutro, nie objaśniając fenomenu z dnia dzisiejszego.

— Tzi przybliżył się i usiadł obok mnie z obliczem zadowolonym.

— Czy i jutro Bóg będzie odpoczywał?
— zapytałem go uśmiechając się.

— Bóg skończył swój odpoczynek — odpowiedział — jutro słońce będzie znowu słońcem, pustynia będzie znowu pustynią, jutro Sahara stanie się przeklętą krainą Pro-roka.

— Powiedz mi Tzi, ty zdajesz się być smutnym?

— Ponieważ chcę zabić kogoś, a Allah zabrania zabijac.

— Czemu ten ktoś ciebie obraził?

— Mnie, niczem; ale on podoba się tej którą ja kocham, i to doprowadza mnie do wściekłości.

— Wszakże ty nie masz zamiaru go zamordować?

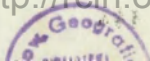
— Nie: lecz jataganem jego, równie ostrym jak i mój; nie włada ramię jego równie silne, a ponieważ Prorok dał mi większą moc, powinienem korzystać z mojej przewagi. Wyzwałem Takzara na bój śmiertelny, przyjął wyzwanie; Kalida nie będzie do niego należała, albo ja umrę.

— Na kiedy ten pojedynek?

— O wschodzie słońca.

— Twoi towarzysze czy nań pozwolą?

— Moi bracia kochają mię, wiedzą że cierpię i błagają Allaha o zwycięstwo dla mnie.



— Jeżeli Allah da ci zwycięstwo, czy Kalida będzie przynajmniej jego nagrodą?

— Nie sędzę.

— Więc pocóż?...

— Kalida kocha... lecz pustynia wielka; stąd do Marokko daleko, a tygrysy nie zawsze mają bankiet z tak świeżego i pięknego ciała jak ciało Kalidy.

— Więc ty jej nie kochasz?

— Dla tego że chcę ją zabić, że chcę ją oddać na pastwę dzikim zwierzętom? widzisz że kocham ją do szaleństwa.

— Czy Prorok nie karze zabójców?

— Niektórych; lecz jeśli jego karząca ręka ma spadać na tych którzy mają *serce w sercu*, na cóż on im wlał w duszę namiętności—te huragany życia? Zresztą wiedzą chrześcijanie, że ja tylko w szczęściu wierzę w Proroka, kiedy niedola mię dotknie—bluźnię mu.

— Czy sądzisz że Arabowie, twoi przyjaciele zgodzą się na tę walkę?

— Jużem ich uprzedził, zgodzili się, i w tej chwili modlą się za mną.

Nieszczęśliwy Tzi opuścił mię znowu; ja zaś poszedłem do sąsiedniego namiotu, aby przypatrzeć się fizyjognomii i wdziękom kobiety, która potrafiła natchnąć tak głęboką namiętą miłość.

Wszedłem, oznajmiwszy wprzód moje przybycie trzykrotnem klaśnięciem w ręce... Kalida siedziała w tej chwili na rozestanej na ziemi wielbłądziej skórze i piła z doskonale wyrzeźbionego kokosowego orzecha jakiś płyn spirytusowy, który jej w podarunku przysłał kochanek Takzar.

Na pierwszy rzut oka Arabka nie usprawiedliwiała wdziękami swojemi namiętności dwóch rywalów, i zazdrość ich była dla mnie zagadką.

Mała, pękata, brudna, podtusiała, z czołem niezmiernie niskim, z nogami lękowatemi. Trudno przytém wyobrazić szczupłość jej nóg i ramion wykrzywionych,

ozdobionych przytém plamami białawemi, wyjawiającemi niedyskretnie przed światem, że kiedyś ta piękność ulegała trądowi, od którego tylko rozpalone żelazo i modlitwy do Mahometa zdołały ją uwolnić.

Byłem zupełnie rozczarowany i nie miałem najmniejszej ochoty zazdrościć losu zwycięzcy. Potrzeba jednak dodać, że nigdy spojrzenie czystsze i słodsze nie błyskało z pod źrenicy czarniejszej i jedwabistój, było w niem coś tak miłego jak pieszczota matki, jak uśmiech przyjaciółki; było ono namiętne i czyste zarazem, ożywcze i uszczęśliwiające.

Nigdy nie widziałem brwi czarniejszych i gęstszych; otaczających bardziej harmonijnym łukiem oczy wielkie i wyzywające. Nigdy nie widziałem pereł bielszych i połyskliwszych jak zęby Kalidy.

Niestety, od tego się zaczyna i na tém się kończy inwentarz wdzięków Arabki; opisanie zaś jój szpetności, gdybym chciał su-

miennie niem się zając, byłoby daleko dłuższem.

Tymczasem chwila boju o tę nową Helenę nadeszła, oznajmiono ją odgłosem trąb; Kalida na ten straszliwy sygnał nie okazała najmniejszego wzruszenia. Dziwnie jakoś zostałem tknięty tym dowodem nieczułości lub stoicyzmu Arabki.

Tzi i Takzar przybyli z stron przeciwnych na plac wyznaczony, cała karawana otoczyła ich sformowawszy obszerne koło; a Kalida usiadła na skórze lwa, którą ofiarował jej szczęśliwy wielbiciel.

Dwaj szermierze okręcili się trzykrotnie na piętach, zmówili krótką modlitwę do Mahometa i upadłszy na kolana oczekiwali rozkazu naczelnika, aby zacząć bój na śmierć. Rozkaz ten niezwłocznie został wydany.

— Odrzekasz się Kalidy? — zapytał Tzi swojego rywala.

— Nie!

— Odrzekasz się?

— Nie!

— Odrzekasz się?—pytam po raz ostatni.

— Nie, nie i nie!

— A więc polecaj się Prorokowi!

I jatagan Tzi zabłysnął nad głową rywala jak płomień miotany wiatrem. Kalida uśmiechała się pogardliwie.

Takzar zaś z udaną spokojnością trzymał się prawie skurczony w gotowości odbicia każdego wymierzonego mu razu i spoglądał niekiedy nagle na swoją ulubioną.

Jatagany zaszczęły przy grobowym odgłosie pieśni monotonnéj i piskliwej, nócnej przez Maurów i Arabów, obojętnych widzów téj walki.

Szermierze nie kiereszują się lecz rzną jeden drugiego, już krew płynie obficie z ich porąbanego ciała; lecz Tzi uważa zwycięstwo nierychle za porażkę, wydaje więc przeraźliwy okrzyk, zwija się, prostuje i trzymając jatagan przed sobą, rzuca się z poskokiem na Takzara... Ten przewidział ma-

newr: przyległ do samej ziemi i nóż jego zakrzywiony głęboko rozpruł brzuch i piersi przeciwnika. Tzi upadł z głuchym rykiem.

— Umieram — mówił słabym głosem konający — lecz chciałbym ostatnie tchnienie wydać u stóp tej, którą modły moje będą wkrótce polecać Mahometowi.

Żądania umierającego zostały wysłuchane: zawleczono go do Kalidy, i tam, zaledwo mogąc się utrzymać, nieszczęśliwy bełkotał wyrazy miłości i żalu; potem ukląkł, położył rękę na sercu i pochwyciwszy sztylet ukryty za pasem, wbił go aż po rękojeść w gardło Arabki, która w tejże chwili upadła bez życia.

Dwa doły wykopano: złożono w nich obok dwa trupy—ofiary namiętności, a nazajutrz gdym chciał kilka słów pociechy powiedzieć pozostałemu Takzarowi, dowiedziałem się że zniknął.

Ileż to straszliwych tajemnic w pustyni Sahary!

VIII.

o a z a.

Taka snadź wola Boska.

Tu piasek, tam piasek, za horyzontem i za horyzontami które dalej następują, wszędzie piasek, a przytęm cisza pustyni, to jest cisza grobowa... I cóż! Taka wola Boska.

Jak naczynie z wodą świeżą dla ust spragnionych, jak promień światła dla ociemniałego, jak słodkie spojrzenie matki dla schorzałego dziecka, jak słowo przebaczenia dla skazanego na męki; tak ręka Wszechmo-

cnego rozsiała w tych pustyniach bez granic, małe zakątki ziemi, gdzie się zieleni murawa, rosną cudnych barw kwiaty, wznoszą się olbrzymie palmy, wietrzyk powiewa miłośnie a źródła świeżej wody dobywają się z ziemi szczęśliwej i woniejącej...

Wielbłądy poprzedzające karawanę pierwsze odgadły bliskość takiej błogostawionój ziemi: ich instykt—to *drugie widzenie*, które nigdy omylić nie może; wszystkie zatem przyspieszyły biegu, jakby pojmowały i chciały ulżyć naszym cierpieniom.

Niestety! odważni wędrowcy pustyni Sahary tak często zawiedzeni bywają w swoich nadziejach, że nie śmieliśmy nawet spodziewać się odpoczynku przy źródle lub w cieniu. Tylko w szczęściu ludzie stają się zuchwali i pełni zaufania w sobie i swoich siłach; w nieszczęściu ufają i wierzą tylko w groźne przepowiednie.

Nareszcie przekonywamy się, nie ma już żadnej wątpliwości: tam w dali u granic

nieboskłonu, to nie obłoki fantastyczne, za pomocą których pustynia ludzi okrutnie wędrownie karawany; barwa i forma zarówno nas przekonywają, że to są drzewa daktylowe o pniu włóknistym; kokosy z gałęziami wierzchołkami, figi o szerokich liściach;—jest to jednym słowem las gęsty, podszyty krzewami, przerźnięty naturalnymi alejami i szpalerami, usiany w kolorach tak dziwnie pięknych i napełniony niemniej pięknych barw ptakami, których krzyki trwożliwe powitały nasze przybycie.

Nie staraliśmy się nawet zagłębić w las, przedstawiający nam bezpieczną i tak pożądaną ochronę; lecz każdy z nas rzucił się na ziemię odświeżoną bujną wegetacją, której cień zachodzące słońce przedłużało w czarownych zarysach.

Po pierwszych uniesieniach radości i upojenia tak naturalnego, po pierwszym śnie spokojnym, na któryśmy tyłą trudami zasłużyli, rzuciliśmy się pod ten dach zielony,

który liście i gałęzie drzew nad nami rozciągały, i rychło znaleźliśmy u stóp ogromnych bananów studnie, mające około 12 stóp głębokości i do połowy napelnione wodą świeżą i przejrzystą.

Powierzchnia wewnętrzna tych studzien była pokryta pewnym rodzajem mastyksu błyszczącego; powierzchnia zaś wody była przypruszone zeschłymi liśćmi i gałązkami. Za pomocą żerdzi i kruków wyciągnęliśmy takowe na brzeg otworu i czerpaliśmy wygodnie ożywczy napój, stokroć zbawieniejszy dla zdrowia niż napoje spirytusowe, z których karawany robią tak częsty i szkodliwy użytek.

Tam i owdzie znaleźliśmy mogiły, na których pobożni zasadzili kilka palm kokosowych: a w bliskości krynic mniej głębokich niż owe studnie, postrześliśmy liczne ślady przejścia lub pobytu w oazie zwierząt drapieżnych, które snadź aż się tu przybłąkały. Na pniu jednego drzewa prze-

czytałem napis: *Banks*, 1793; na drugim: *Lady Alton*, 1815 i wiele innych napisów trudnych do przeczytania, z powodu pęknięcia się kory drzew na których były wyryte.

Przeglądając dalej ów las, postrzegłem z wielką radością butelkę zawieszoną na gałęzi figowego drzewa, a w niej znalazłem pismo w angielskim i francuskim językach następnj treści:

„Wszelakiemu wędrowcowi pozdrowienie!

Jeżeli chcesz udać się do Marokko w prostej linii, udaj się w kierunku od drzewa na którym ta butelka była zawieszoną, do bananu odległego stąd o dwanaście kroków. Oazis prawie tak piękny jak ten, znajduje się w odległości mil dziesięciu na zachód, w kierunku od tegoż figowego drzewa do pnia złamanego kokosu, przy którym znajduje się studnia o dziesięciu stopniach, prowadzących w głąb i pokrytych mastyksem.

John Becker.“

Dzięki niech będą téj butelce, do której podobną znaleźliśmy do połowy wkopaną przy innem figowem drzewie, a trzecią, którą ja zostawiłem, znajdzie się w bliskości wielkiego rezerwoaru wód, w północno-zachodniej stronie oazy.

Potrąciłem także nogą jakiś szkielet człowieka zbielały i uszkodzony, któremu brakowało zupełnie głowy. Musiał lew zgłodniały przechadzać się tu w jednymże czasie co i ten nieszczęśliwy, którego powrotu naprózno oczekiwać będą krewni i przyjaciele.

Znalazłem także małą skrzyneczkę dębową, prześlicznie rzeźbioną. Wierzch jej złamany, papiery porozrzucane tu i owdzie, ziemia głęboko zryta do koła, świadczyły o strasznej i krawej walce między lwem lub tygrysem, a wojazerem, któremu nie dano czasu dokończyć opisanja podróży przez Saharę.

Na początku dość grubego zwoju papierów wyczytałem: „Kapitan Middleton opuścił Goreę 11 czerwca 1814“... Potem kilka wierszy nieczytelnych z powodu błota i krwi, któremi rękopism był zwałany; reszta rękopismu zawierała długie i dość niezręczne opisanie okropnych cierpień doznanych przez karawanę, z którą podróżował kapitan Middleton.

Starannie zebrałem rozproszone ćwiartki tego rękopismu, lecz nazajutrz gdym je chciałem uporządkować, postrzegłem że mi je skradziono w nocy.

Próbowałem skarżyć się o tę krzywdę przed naczelnikiem karawany, lecz ten dał mi do zrozumienia, że i tak okazują mi wiele względów, gdy pozwalają robić notatki podróżne, że podobnych względów nie każdy doznaje, i że papiery a z niemi i skrzynka podczas mojego snu wrzucone zostały w ogień.

Uwierzyłem był z początku téj odpowiedzi, lecz później po przybyciu do Marokko dowiedziałem się, że lotr ten skłamał przedemną, gdyż wszystko to sprzedał za dość wysoką cenę konsulowi angielskiemu, który te notatki odesłał wkrótce towarzystwu geograficznemu w Londynie.

W przeddzień naszego wyjazdu przypa-
dło częściowe zaćmienie słońca, i przeciw-
ko mojemu oczekiwaniu ani Arabowie, ani
Murzyni nie przestraszyli się tym fenome-
nem, który przeszedł, nie uczyniwszy naj-
mniejszego wrażenia. Tylko konie i wiel-
błądy skupiły się w gromadkę i nie chciały
się rozejść wprzód, aż po zupełnem oczy-
szczeniu się dziennej gwiazdy. Co zaś do
powietrznych mieszkańców oazy, nie do-
strzegłem aby ich lot podczas zaćmienia był
mniej skory, lub ich śpiewy i krzyki różniły
się w czém od zwyczajnych. Upadł wpra-
wdzie pośród naszego koczowiska ibis, lecz
nie mogliśmy z pewnością twierdzić, co by-

ło tego przyczyną: brak sił, czy też przestrasz. Arabowie uważali przybycie tego gościa za szczęśliwą dla nas wróżbę i w skutek tego popili się kompletnie.

W dwie godziny później wszyscy byli pijani i bez zmysłów. Niechże kto jeszcze wychwala wstrzemięźliwość Arabów (1).

(1) *Wstrzemięźliwość Arabów.* Jedna jaskółka nie robi wiosny. Pomiędzy Arabami rzadziej jeszcze znajdziesz pijaka niż pomiędzy Żydami. Wstrzemięźliwość, waleczność, gościnność i wierność znamionują prawie bezwyjątkowo potomków Sema, Ismaela; poetyczne usposobienie ozdabia ich charakter, zemsta tylko niczem nieprzeblagana i chciwość rabunku najczęściej ocieniają owe szlachetne rysy charakteru. Pomiędzy Arabami puszcy znajdziesz plemiona nieuznające Mahometa, modlące się jeszcze do księżyca i gwiazd, znajdziesz i takie, które żadnej nie wyznawają religii—zupełnie jak Cyganie, i ci nie odznaczają się już owymi szlachetnymi znamionami czystych Arabów, i nie uważają wstrzemięźliwości jako artykułu wiary, owszem, przy każdej sposobności używają środków mogących ich wpra-

Zachód słońca był przepyszny; ostatnie promienie jego okraśliły purpurową barwą wierzchołki drzew wyniosłych, a my zostaliśmy pogrążeni w jakiś niepewny zmrok szarawy. Powiew lekki północnego wiatru sprawiał nam niewypowiedzianą rozkosz. Nie trzeba było żadnych namiotów, co to tylko nie pozwalają piersiom odetchnąć pełno i szeroko; lekka firanka obłoków rozpięta nad nami, dozwalała nam widzieć błękitne niebo usiane iskrzącymi się gwiazdami; głowy nasze uwolnione od pokrycia, spoczywały na gęstej murawie; każdy starał się jak najwięcej wzmocnić i utwierdzić w sobie to życie, tak łatwo mogące opuścić nas wśród klęsk doznawanych w pustyni;

więc w stan jakiś szalu lub odurzenia, nie gardzą ani opiatami, ani napojami upajającymi. Takich zapewne spotkał nieraz w swych wędrówkach P. Jakób Arago, ale oni są typami arabskimi i stoją pomiędzy spółbraćmi swymi jako wyjątki na wzgardę zasługujące.

nie potraficie wyobrazić sobie dokładnie tych ludzi, zwyczajnie tak ognistych i namiętnych, teraz uśpionych i spokojnych, jak otaczająca ich po za oazą pustynia.

Dzień który nastąpił po tej nocy tak cichój i balsamicznój był okropny: wszyscy bez wątpienia bylibyśmy zginęli, gdyby nie zbawczy przytułek w oazie, do której nam miłosierny Stwórca przed tym dniem straszliwym przybyć dozwolił. Niepodobna było dotknąć gołą ręką piasku wystawionego na działanie słońca; liście drzew skwarzyły się jakby od płomienia, murawa więdła i kurczyła się od gorących powiewów wiatru, który przyjął kierunek południowo-wschodni; ciała nasze zlewały się potem, siły nas opuszczały, w miarę jak słońce podnosiło się w górę; wielbłądy nawet okazywały cierpienie płaczliwém beczeniem... Lecz nagle wiatr znów powiał z północy, roślinność odzyskała pierwotną świeżość,

zwierzęta dawniejsze siły, ludzie straconą nadzieję, a oaza swoją pyszną okazałość.

Jednakże, przez to samo że ten szczęśliwy i rokoszny przybytek stanowi zupełną sprzeczność z dziką samotnią, wśród której Stwórca go umieścił, dłuższy w nim pobyt mógłby stać się dla nas fatalnym. Z tego powodu, przywódcy karawany po długiej naradzie postanowili, aby odjazd nastąpił pojutrze. Z tego powodu o mało nie przyszło nazajutrz do krwawego starcia, ponieważ chęć przepędzenia dłuższego czasu w tej rokosznej siedzibie, była równie silną u jednych, jak chęć rychłego odjazdu u drugich.

Kobiety uspokoiły kłótnię, i postanowiono pójść za wolą większości; kwestyja ta w tymże momencie została rozwiązana, i zupełna zgoda panowała między nami, kiedyśmy się udawali do spoczynku.

W ciągu nocy umarło dwoje czarnych ojciec i córka;—pochowaliśmy ich z obrzę-

dami używanemi w tych krajach. Przyjaciele tańcowali, albo właściwiej mówiąc podrygiwali na ich mogiłach, a nazajutrz zapomnieli nawet o tem, że owi zmarli żyli kiedyś na świecie.

Zapisałem nazwisko swoje i kilka przestroóg dla podróżujących po pustyni na kawałku papieru, który umieściłem w puszcze blaszanej; wyrzynałem także kilka znaków na korze drzew.

Oby jaki szczęśliwy podróżnik mógł mi powiedzieć że je widział!

Arab jest z natury swojej religijny; on wierzy, wierzy namiętnie. Wiara to jego życie, jego nadzieje, jego zbawienie.

Jeżeli Araba dotknie nieszczęście, modli się on dla uspokojenia gniewu niebios. Jeżeli mu się szczęście jakie nadarzy, modli się, by mu prorok nadal błogosławieństwa nie uskąpił. W tej zachwycającej oazie, do której dosięgliśmy po tylu cierpieniach, radość ogólna tak była żywą, że murzyni za-

pominając o swoim bałwochwalstwie, stali się na chwilę muzułmanami, byle tylko doznać tejże rokoszy co i Arabowie, — rokoszy modlenia się.

Widok, jaki przedstawiają oazy rozrzucone po pustyni, nie może być pojęty i wytłómaczony przez naukę. Tu piasek i wieczna jego martwość; tam zieloność świeża i uśmiechająca się. Tu cała natura w żałobie; tam osłona z drzew przed ogniem rozpalonego nieba. Tu atmosfera nieruchoma; tam lekki i balsamiczny powiew wiatru, szemrzący między liśćmi i lękający się wystąpić za cieniste koło oazy, wśród której igra i swawoli.

A jednakże biada karawanie, któraby dała uludzić się temu nadmiarowi szczęścia i jak Annibal w Kapui, zapomniała się wśród rokoszy; bywa taki dzień, w którym oaza jest sprofanowaną, w którym jej magiczną osłonę rozrywają wichry, unoszą w przestrzeń i zabijają ptaki co się pod nią ukry-

wały, w którym konary drzew rosnących wśród tych miejsc rokosznych, bywają spalone i połamane... A to bywa w tym dniu, w którym niszczący wszystko *sirokko* zrywa się, pędzi, porywa, dusi, równa, pali wszystko czego tylko dotknie swoim za-trutem tchnieniem... A wówczas, wówczas nikt nie opowie klęski, piasek sam nad tru-pani usypuje mogiłę, a mogiła milczy.

Ale niedorzecznością byłoby trwożyć się tem przedwcześnie, co jeszcze kiedyś być może; dzisiaj mamy dzień pogodny, niebo-sklon lazurowy, żaden obłok nie zagraża nam burzą... Tańce i śpiewy upojonych 10-skoszą Arabów i Murzynów otaczają nas do koła. Więc bawmy się i niemyślmy o jutrze.

To, coby znudziło śmiertelnie Europej-czyka, rozwesela i zachwyca Araba. Po-dług mnie nic smutniejszego, nic bardziej nudnego i monotonnego jak muzyka tych ludów, mająca tylko trzy nuty, które się po-wtarzają jedna po drugiej w jednostajnych

przcrwach, z towarzyszeniem bębna, wktóry co chwila uderzają bez względu na takt; a w całej muzyce żadnego cieniowania tonów, żadnej modulacyi i w skutek tego żadnej harmonii.

Muzycy stoją w kupce w pośród koła tańczących; a ci oczekują tylko hasła. Taniec ich jest to posuwanie się tylko i przechodzenie z miejsca na miejsce mniej lub więcej powabne i układne, w czasie którego tanecznicy kładą ręce na głowy i ramiona tancerek, a te z początku nieruchome, wówczas dopiero ożywiają się i zaczynają skakać, kiedy je osłonią płachtą tkani-ny błękitnej, białej lub pstrokatej; poczem skromność tych córek Terpsychory staje się mniej trwożliwą.

Zaczyna się taniec ogólny: chodzą poważnie, podrygują, śpiewają gardłowym głosem pieśni, których treścią zwykle bywa modlitwa lub opowiadanie jakiego znakomitego czynu Proroka. Po kwadransie ta-

kiego tańca, nie męczącego bynajmniej, dotychczasowi tancerze ustępują na bok, ażeby nie przeszkadzać nowym figurantom, którzy powtarzają to samo, bez żadnej a żadnej odmiany, co ich w tym zawodzie poprzednicy.

Często się zdarza, że tańce są tylko wstępem do bardziej uroczystego obrzędu, jak na przykład zawarcie małżeństwa, między jaką od dawna już w sobie rozkochaną parą. Radość obecnych była wówczas jeszcze wyrazistszą, podrygiwanie bardziej gorączkowe; a po tym niezwyčajnym ruchu całej karawany, następuje jakaś religijna cisza i skupienie w sobie ducha; — bo wszystko w pustyni jest uroczystem: cisza i wzburzenie, śpiew i mowa, ruch i spoczynek.

Jeżeli gwarna wesolość jest łatwo się udzielającą, to cisza także bywa zaraźliwą, i nie potrafię wam opisać tego ogólnego uspokojenia, jakiemu uległa nasza karawa-

na po scenach wesołości, rokoszy i zapomnienia, które nastąpiły po cierpieniach i niebezpieczeństwach podróży w pustyni; rzekłbyś iż lękają się zbudzić lwa uspionego w legowisku, lub simun wstrzymywany ręką Przedwiecznego.

Podczas naszego pobytu w oazie odbył się obrzęd zaślubin pomiędzy młodą, od piętnastu do szesnastu lat mającą dziewczyną, siostrą Araba żywcem zakopanego w pustyni i jednym z najwaleczniejszych przywódców karawany. Panna młoda, siedząca obyczajem wschodnim z podkurczonymi nogami, przyjęła podarunki swojego narzeczonego z prawdziwie zdumiewającym wdziękiem i skromnością; była osłoniętą miękkimi tkaninami, ramiona i szyję miała ozdobione drogiemi kamieniami i złotem bransoletkami wysadzanemi perłami. Podarunki składały się z najlepszego z całej karawany wielbłąda i z arabskiego, pysznie przybranego rumaka.

Po wielu komplementach i ściskaniu rąk bardzo wyrazistém, młoda dziewczyna wskoczyła na darowanego sobie rumaka i wybiegłszy za granicę oazy, puściła go w przestrzeń, kierując nim głosem, ostrogą i ręką. Powróciwszy z tej wycieczki, Abdellah (tak się zwała Arabka) z pewnym rodzajem próżności, łatwej do wybaczenia, przyjęła pochwały swoich przyjaciół i usiadła z dumą przy swoim narzeczonym.

Śpiewy i tańce poprzedzające chwilę w której Arab poprowadził młodą małżonkę pod namiot dla nich przygotowany, miały niewypowiedziany urok i słodycz.

Następna noc była spokojna, uroczą, balsamiczną, lew wprawdzie przechadzał się i ryczał w bliskości naszego obozu, lecz nie uważał za stosowne nas zaczepiać, bądź z powodu ognisk rozpalonych, których dzikie zwierzęta się lękają, bądź dla prostej przyczyny że nie był głodny.

Dosyć doznawaliśmy wrażeń od wyja-

zdu naszego z Senegalu, zanadto krwawych i strasznych ustępów zamroczyło naszą podróż, abyśmy mogli żądać odwiedzin podobnego gościa. Straszliwy król pustyni ostatnim rykiem, podobnym do grzmotu, zapewnił nas o swoim odwrocie, jak gdyby bał się zakłócić naszą uroczystość i odpoczynek.

Tańce murzynów powitały nas przy obudzeniu; lecz nic w nich nie dostrzegliśmy uroczystego, przyjemnego lub wesołego. Były to krzyki, tupania, wrzaski, obrzydliwe wykrzywiania się, szaleństwa szatańskie, których ani opowiedzieć, ani opisać niepodobna. U tych ludzi zrodzonych pod ognistym niebem na spalonej ziemi, wśród huraganów unoszących ich mieszkania; zmuszonych ciągle walczyć o życie i władztwo nad pustynią przeciwko tygrysom, boa, krokodylom, lwom, nosorożcom i panterom;— u tych ludzi powtarzam, wszystkie uczucia są namiętne, wszystkie namiętności wściekłe. U podobnych istot, puszczonej na

świat w chwili gniewu Bożego, przyjaźń i nienawiść, cierpienie i rokosz, wesołość i smutek zdają się pochodzić z jednego źródła, zdają się być dziećmi jednego wzruszenia.

Zabawy tych ludzi, ich pieszczoty lub walki—to szaleństwa, których widok sprawia zawrót głowy; patrząc na nie, sądziłem że był obecny karmieniu żarłocznych szakali lub hyjen zgłodniałych.

Sądziłem, że na chwilę został przeniesiony na archipelag Sandwichski, gdzie na lądzie, z lawy utworzonym, widziałem podobne tańce i niemniej straszliwe igrzyska.

Donośny odgłos trąb dał hasło do odjazdu, a wielbłądy odpowiedziały nań smutnym beczeniem, którym oznajmują sobie wzajemnie nową podróż, nowe cierpienia i trudy. Opuściliśmy dobroczynne źródło, wyczerpawszy wprzód z niego prawie wszystką wodę, i około godziny czwartej po południu poskładaliśmy nasze namioty.

Lecz jakież był nasz smutek, gdyśmy się dowiedzieli, że nowi małżonkowie nie chcą więcej narażać się na niebezpieczeństwa podróży i zadowoleni z siebie, pozostają w oazie używać słodczy miesiąca miodowego. Namowy, lzy, prośby, pogróżki, nic nie mogło przewyciężyć fatalnego uporu Abdellah i jej małżonka; ich postanowienie, twierdzili oni, było natchnieniem z nieba; a kiedyśmy im przepowiadali okropności głodu, osamotnienia, niebezpieczeństwa z powodu dzikich zwierząt, odpowiadali nam, że Allah wszystkiemu zaradzi, i że my jesteśmy bezbożnicy, kiedy ośmielamy się wątpić o Jego miłosierdziu.

Z zalem pożegnaliśmy tych fanatyków, i wkrótce cieniste wierzchołki drzew rokosznej oazy znikły za nami w pośród mgły błękitnawej.

IX.

Simun i Miraż.

Czysty powiew północnego wiatru odświeżył atmosferę; po raz to pierwszy od początku podróży naszej uczuliśmy potrzebę przykrycia się na noc; z rozkoszą oddychaliśmy powietrzem czystym i zdrowym, które nam zapowiadało bliskość brzegów śródziemnego morza (1). Każdy wieszował

(1) Powiewy morza śródziemnego istotnie dochodzą aż do krainy Bled-Sidi Hessemów, stanu Maurytańskiego niepodległego, to jest od stopnia 35

sobie i drugim rychłego końca dość szczęśliwej podróży; gdyż dotąd nie wiele ofiar zostawiliśmy za sobą na drodze. Rozmowy wszczęły się żywsze, śpiewy stały się mniej monotonne i zwawsze, a jednakże naczelnicy karawany baczni i niespokojni, rozmawiali z sobą po cichu i spoglądali często na nieboskłon, dla zbadania jego tajemnic.

Wstępujemy w krainę Bled-Sidi-Hessanów, Maurów niezależnych. Ptaki przelatywały nad naszemi głowami z niesłychaną szybkością i krzyząc przeraźliwie; przytém wszystkie leciały w jednym kierunku, i łatwo było odgadnąć, że jakieś wielkie niebezpieczeństwo z gniazd je wyгнаło.

szerokości jeograficznej, aż do 27 stopnia s. jeog. i łatwo je można odróżnić od mroźnych wiatrów wiejących z Atlasu już widzialnego z tej strony Sahary o mil blisko czterdzieści; atmosfery bowiem nadzwyczajna czystość pozwala przedmiotom bardzo odległym przedstawiać się nader wyraźnie.

Gwiazdy straciły zwykły swój połysk, chociaż niebo zupełnie z chmur oczyszczone, a księżyc w ostatniej kwadrze niknie prawie wpośród mgły przejrzystej. Tymczasem powiewa wietrzyk wonny i cichy. Niestety! jest to tylko milczenie i spokój gadu, który się przyczaił dla pochwycenia ofiary; jest to cisza fal morskich, które wkrótce huragan wzniesie aż do obłoków.

Nareszcie dzień nastaje. Wszystko się dookoła nas zmieniło, konie i wielbłądy zwracają się ku zachodowi i rżą, jakby je palił ogień wewnętrzny.

Simun! simun! simun!

Rozległy się te dwie groźne sylaby, a teraz strzeżcie się!

Słońce wschodzi, podnosi się, rozszerza i niby staje w miejscu. Wygląda ono jak ogromna tarcza, na którą można teraz patrzeć bez olśnienia; masa jego wydaje się czerwoną i niby nakrapianą we wszystkich kierunkach zygzakami mniej wyrazistego

koloru, podobnemi do błyskawic przeryniających atmosferę, wówczas gdy ta jest czystą i spokojną.

Pasy otaczające gwiazdę dzienną, mają dość regularną formę; są one fioletowe, błękitne, bladawe, a pod spodem ogniste, niby rozpalone do czerwoności żelazo; jeszcze niżej przybierają one kształt grzyw zwierzęcych, o fantastycznych zagięciach, które pływają w powietrzu niby w ognistym oceanie, pogrążają się w nim i znowu na jaw wychodzą.

Te groźne znaki zapowiadają huragan, który lada chwila zerwie wstrzymujące go dotąd zapory i rzuci się na świat. Ale te zapory już zostały zerwane. Wielka gwiazda dzienna znika z przed naszych oczu, widnokrąg się ścieśnia, niebo zapala, ziemia drży wzruszona w podstawach swoich, nawałnica spada z szybkością aeorolitów; zdaje się, że Stwórca przepomniał o obietnicy uczynionej Noemu, i świat nasz no-

wym chce ukarać potopem. Nawałnica trwa ciągle, nawodnia ziemię, unosi z niesłychanym pędem wystające nad powierzchnią góry piasku i drzewa, które porwała w olbrzymim swoim biegu, napelnia doliny, zmienia postać lądu który zmiata, ćwiczy konie i przewraca, słowem, staje się okropną samowładną i kapryśną panią ziemi i stworzeń na niej zamieszkałych; wszystko się ugina, wszystko ulega woli i kaprysom tej, która nikomu i niczemu nie przepuszcza, najgrawa się z łez i przerażenia, rozpaczy i konania. Dla tej nieposkromionej władczyni pustyni potrzeba koniecznie przeszczeni, ruin i trupów do pochłonięcia.

To żałoba, noc, chaos.

Wszyscy jesteśmy najmocniej przekonani, że ostatnia godzina nasza nadeszła. Burza z całym swoim orszakiem piasku gorącego jak iskry, dręczy i pali ciała nasze. Ryk jej, to coś naksztalt przeraźliwego świstu, lub złowróbnego krzyku. Oddech

jéj ma duszący zapach siarki; niebezpieczeństwem jest patrzeć na tę scenę okropną. Wszyscy ludzie i zwierzęta, powodowani instynktem zachowawczym, klękamy aby zmniejszyć się ile możności i tym sposobem jak najmniej opór stawić wściekłości burzy... lecz strzeżmy się! gdyż piasek który wicher natychmiast do koła nas nagromadzi, może stać się dla nas śmiertelnym całunem. Wielbłądy o tem wiedzą: poruszają się więc ciągle aby nie być zasypanemi; przytém skupiają się, tulą jedne do drugich i starają się zawsze być na wierzchu.

Jakoż pną się coraz wyżej i wyżej; burza zaskoczyła ich w dolinie, a oto w kilka chwil później, już są na wierzchołku góry, skąd gwałtowny powiew wiatru znowu je na dół spycha.

Gdzież się podziały namioty, bagaże. zwierzęta nasze? Gdzie są ci odważni wędrowcy, którzy śmieli stawić czoło pustyni?

Szukajcie a znajdziecie niektórych tylko, lecz potłuczonych, pokaleczonych, bez sił, bez energii, bez nadziei ratunku; ponieważ simun niszczyciel nie wywarł jeszcze wszystkiej swojej złości.

Czy to jest dzień, czy noc? Wszystko nam jedno, gdyż musimy oczy mieć zmrużone, inaczej piasek by je wypalił.

A tymczasem żwir, którym wicher miotał opada, staje się nieczułym i nieruchomym, jak mu to niezmiennie prawa przyrodzenia nakazały. Cóż ma począć wśród tego chaosu wędrowiec? Oto oddać się zupełnie na jego wolę, czekać i błagać Boga o siły potrzebne do zniesienia.

Lecz huragany ustały;

Sawana, pustynia, skały,

Wszystko zgubione do szczętu:

Tylko simun przerwie ciszę,

Tylko ibis się kołysze,

W pośród pustyni odmętu!

A gdy na tej strasznej scenie,

Bóg wszechmocne swe spojrzenie,

Promieniem słońca roztoczy:
Ujrzy jak dzika pantera,
Ziemię zapiekłą rozdziera,
I krwi żądna, w krwi się broczy.

Obliczyliśmy naszą stratę, była okropną. Prawie wszyscy Murzyni znikli w tym od-męcie, sześciu arabów wichler zasypał pia-skiem; odkopaliśmy ich dla tego tylko aby przekonać się że nie żyją: dwa wielblądy i cztery najlepsze konie leżały na ziemi nie dając żadnego znaku życia. Namioty simun pozanosił nie wiadomo w którą stronę pu-styni; nasze naczynia z wodą i zapasy ży-wności znikły bez żadnego śladu, a drama-der który zawsze prawie idąc naprzód otwierał pochód karawany, wściekł się w chwilę później i uciekł w największym pędzie w głąb' pustyni, nie słuchając głosu trąbki, która nim dotąd kierowała.

Rozgrzebując piasek, znaleźliśmy pod nim nieszczęśliwą kobietę, tulącą do mar-

twego łona dwoje dzieciak także uduszonych.

Co do mnie, miałem tę przezorność, żem przykrył twarz maską powleczoną we troje złożoną gazą, jak to robią na lekcjach fechtowania, i mogę śmiało twierdzić, że ocalenie moje winienem jedynie przytomności umysłu, i żem się przyczepił do szyi wielbłąda, którego ruchy naśladowałem. Byłem rozbity, członki moje powychodziły ze stawów i gdyby burza potrwała kilka chwil dłużej, pewnoby mnie uniosła we wściekłym swoim pędzie i nie opowiadałbym wam dzisiaj o straszliwych fenomenach tej części środkowej Afryki tak ciekawej do zbadania, a zarazem tak trudnej.

Kiedy resztki karawany skrzętnie się zebrały, porządek jako tako został urządzony, a spokój i bezpieczeństwo przywróciły nam sił nieco, (Stwórca nie dopuszcza aby tak okropne sceny po sobie następowały);

udaliśmy się w dalszy pochód, zwracając drogę naszą ku północy: smutny to był widok naszej, tak pięknej przedtém karawany.

Tam daleko w pustyni zostawiliśmy wielu towarzyszy, których trupy dawno musiały pozrzeć drapieżne zwierzęta; tu bliżej niezmierną liczbę ofiar, między któremi bracia, matki, dzieci moich towarzyszy. Wesołość na długo nas opuściła.

Nie rozmawialiśmy prawie: spoglądaliśmy tylko jedni na drugich wzrokiem smutnym i zniechęconym. Huragan trwał sześć godzin, a potem zrobiliśmy piętnaście mil drogi w afrykański upał.

Odetchnęliśmy cokolwiek w nocy. Z chciwością pożeraliśmy resztki naszych zapasów żywności, a potem sen pokrzepiający dozwolił nam na chwilę zapomnieć o tém cośmy ucierpieli w podróży.

Po obudzeniu się usłyszeliśmy jakieś dalekie skamlenie i ryk głuchy; lecz nie mogłem zajrzeć w dal aby przekonać się skąd

pochodzą owe głosy, ponieważ w czasie burzy postradałem szczudła.

Jednakże ani pantery, ani tygrysy, ani lwy nas nie zaczepiały: zwierzęta te, również jak i sępy wiedziały dobrze, gdzie dla nich przygotowana bardziej bezpieczna uczta.

O świtaniu lekka mgła trochę nas pokrępiła; rosa zwilgotniała nieco powierzchnią ziemi i zdało nam się, żeśmy weszli w inny klimat. Piasek na drodze (jakby w pustyni była jaka droga) wydał się nam mniej nikłym, mniej gorącym; ptaki przelatywały liczniejszymi gromadami i nareszcie przekonaaliśmy się z wielką radością, żeśmy weszli w pas kamienisty, który od strony pustyni poprzedza pas krzewów i cierni, za którym dopiero następuje brzeg morski.

Przebyliśmy więc pustynią, nie mamy już więcej niebezpieczeństw do pokonania, nie mamy potrzeby walczyć z dzikimi

zwietrzętami, z huraganem i groźniejszemi od tych głodem i pragnieniem.

Widnokrąg ścieśnia się i skłania. Pas kamienisty musi nie egzystować w tej części pustyni, ponieważ już postrzegamy w dali wierzchołki gór zarosłych drzewami, zielone dachy domów, pod którymi oczekują nas zapewne odpoczynek, szczęście, zapomnienie cierpień doznanych.

Spojrzenie jak majestatycznie przyrodzenie rozwija się przed naszemi oczami! To jakiś krajobraz czarowny! Rozszerza się on i upiększa za każdym krokiem w nowe bogactwa, barwi się nowemi kolorami! a za nim w małej odległości morze, morze śródziemne o kryształowych falach, ze szmerem mu właściwym, z białemi żaglami i z lekkim wędrownym wietrzykiem.

Przekonywacie się więc, że pustynia nie zawsze i nie dla każdego bywa grobem: ma i ona swoją rokosz, swoją pociechę.

O, tym razem dziękujemy niebu, że po-

łożyło kres naszym cierpieniom. Śpiewy dają się znów słyszeć, pochod nasz staje się skorszym. Wśród tej powszechnej radości, tylko wielbłądy zwieszają jakoś smutnie głowy i zdają się wyrzucać nam nasze uniesienia.

Ale co nas mają obchodzić kaprysy tych bezrozumnych zwierząt, nieczułych na piękności przyrodzenia; to dla nas tylko pan Bóg z nieograniczonej dobroci swojej udarował te brzegi tak bujną i tak świeżą zielonością.

Postępujemy dalej; zdaje się, że za chwilę dotkniemy ręką tych czarownych gór, lasów i domów; zdaje się, że słyszemy plusk fal Śródziemnego morza, uderzających o piasek nadbrzeżny; widziemy skrzydlatych mieszkańców tych miejsc rokosznych, unoszących się pomiędzy liśćmi drzew.. nie czujemy już głodu, pragnienie nas nie dręczy, wszystkie potrzeby fizyczne znikają przed nadzieją tak bliskiego szczę-

ścia... Jeden krok jeszcze i wszystko znikło, te fale przejrzyste, te ptaki bujające w powietrzu, te lasy aromatyczne, to całe przyrodzenie przybrane w świąteczną szatę, wszystko to od razu przepadło! A my tak jak i przedtem znaleźliśmy się wśród pustyni bez granic, z dodatkiem zwiększonej rozpaczki dla duszy, a okropniejszego głodu i pragnienia dla ciała.

Wielbłądy miały więc słuszość; nie dały się one zwieść złudzeniem *mirażu*; wiedzą one, że pustynia nie tylko dręczy ofiary swoje, ale się jeszcze z nich najgrawa.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

